

KAROL MAY

U STÓP PUEBLA

CYKL: SZATAN I JUDASZ TOM 8

Bratobójstwo

Ani nam przez myśl nie przeszło, aby wracać do tego miejsca rzeki Canadian, gdzie rozstał się z Indianami Jonatan Melton — byłaby to niepotrzebna strata czasu. Trzymaliśmy się raczej, o ile na to pozwalał teren, linii prostej do Albuquerque. W drodze nie przytrafiła nam się żadna, godna uwagi przygoda. Czwartego dnia wieczorem stanęliśmy u celu.

Miejscowość, do której przybyliśmy, bierze swą nazwę od księcia Albuquerque, który był ongiś wicekrólem Meksyku. Nazwa „Albuquerque” oznacza „Biały dąb”. Miasto składa się właściwie z dwóch dzielnic, wcale do siebie niepodobnych i oddzielonych obszerną, nie zabudowaną przestrzenią. Stara dzielnica hiszpańska zachowała czysty, dawny charakter kastylski, który nigdzie indziej nie przeciwstawia się tak wyraźnie współczesnemu amerykańskiemu. Nowe zaś Albuquerque ma wygląd zwykłych miast amerykańskich, wyrosłych jak grzyby po deszczu. Marne, nie brukowane ulice i zaułki z drewnianymi chodnikami dla przechodniów. Budynki drewniane, oblepione sklepami i szynkami wszelkiego rodzaju. Całe miasto leży na prawym brzegu Rio Grande del Norte, na lewym zaś położona jest duża wieś Atrisco.

Byliśmy pewni, że zbiegowie wyznaczyli sobie spotkanie w restauracji Plenera, w amerykańskiej dzielnicy. Nie uważaliśmy za właściwe od razu we trzech odwiedzić ów zakład. Zajechaliśmy do innego hotelu, który bynajmniej nie był godny tej nazwy. Zostałem tu wraz z Winnetou, Emery natomiast pojechał wprost do Plenera. On najmniej ściał na siebie uwagę. Poleciliśmy mu, aby nie narzucał się zbyt ze swym towarzystwem, ale zasięgnął języka.

Był już, jak rzekłem, wieczór, gdy przyjechaliśmy. Znużeni podróżą, zamierzaliśmy wcześniej się położyć. Gdy przy kolacji oznajmiłem to posługaczowi, odezwał się:

— Bardzo niesłusznie, panowie dżentelmeni! Powiadam wam, że Albuquerque jest ponurym gniazdem i jeśli tylko nadarza się tu sposobność jakiejś rozrywki, to należy z niej stanowczo skorzystać, zamiast kłaść się do łóżka.

— Cóż to takiego? Jest pan bardzo przejęty, master!

— Bo też jest czym się wzruszać! Gdybyście tylko zobaczyli naszą Hiszpankę, panowie!

— Widziałem już wiele Hiszpanek. Co to za jedna?

— Śpiewaczka. Powiadam panu, całe Albuquerque szaleje za nią. Chciała tu wystąpić tylko jeden raz, ale powodzenie było tak ogromne, że zdecydowała się dać jeszcze dwa koncerty.

— Jak się nazywa ta niezwykła śpiewaczka?

— Marta Pajaro.

— Pięknie brzmiące nazwisko!

— Prawdziwie hiszpańskie. To rodowita Kastylka, aczkolwiek nade wszystko lubi śpiewać niemieckie pieśni.

— Jak to? Hiszpanka, śpiewająca niemieckie pieśni?

— Tak. Czy to pana dziwi? Ponadto warto też posłuchać jej brata skrzypka! Mówię panu, że nie znam takiego drugiego wirtuoza, jak ten Francisco Pajaro!

— A więc Marta i Francisco Pajaro? Zaciekawileś mnie pan naprawdę. Może zdecyduję się pójść ich posłuchać. Gdzie odbywają się występy?

— W salonie naprzeciwko. Wszystkie bilety wyprzedane. Ale ja mam jeszcze kilka. Miejsce kosztuje właściwie dolara, jak mi pan zapłaci dwa, „to panu sprzedam.

— Ach, chce pan zarobić sto procent! Niech tam! Proszę mi dać dwa bilety.

Czytelnik zapyta chyba, dlaczego kupiłem bilety, mimo podwójnej ceny? Z bardzo prozaicznego powodu: „pajaro” znaczy po hiszpańsku ptak, odpowiednikiem w języku niemieckim jest „Vogel”. Rodzeństwo miało imiona Marta i Franciszek, Czyż nie nasuwali się na myśl moi starzy znajomi, których sprawy spadkowe zagnały mnie i Winnetou do Egiptu i Tunisu, a teraz znów sprowadziły do Ameryki? Hiszpanka, śpiewająca pieśni niemieckie — zjawisko nieco osobliwe. Raczej należało przypuścić, że śpiewaczka jest Niemką i że tu, w Nowym Meksyku, przybrała nazwisko hiszpańskie. Podzieliłem się domysłami z Winnetou, który z miejsca zgodził się pójść na koncert.

Do rozpoczęcia występu mieliśmy pół godziny czasu, trzeba więc było się śpieszyć. Posługacz hotelowy nie skłamał, przynajmniej co się tyczyło publiczności. Salonem była buda, sklecona z desek, tak wielka, że mogła pomieścić sześćset osób, a jednak tylko nieliczne krzesła w ostatnich rzędach były wolne. Tam się usadowiliśmy.

Po kilku minutach wszystkie miejsca zostały zajęte. Przybywało jednak coraz więcej ludzi i zappełniało przejścia. Scenę stanowiło podium, na którym stał fortepian.

Niebawem wstąpili na podium oboje artyści. Tak, to byli na pewno oni, Franciszek Vogel i jego siostra. Franciszek trzymał skrzypce, ona zaś siadła do fortepianu. Zagrał jakiś brawurowy utwór. Stwierdziłem w jego grze znaczne postępy. Martę widziałem z profilu. Dojrzała już całkowicie i bardziej wypiękniała. Cierpienia i troski ostatnich lat uduchowily jej twarz i nacechowały piękne rysy bólem, co przepelniło mnie ogromnym smutkiem. Po skończeniu pierwszego utworu oboje ukryli się za zasłoną.

Drugi utwór był popisem Marty z akompaniamentem Franciszka. Śpiewała hiszpański romans, śpiewała tak pięknie, że musiała pieśń powtórzyć. Marta nie uciekała się do tanich efektów toalety — nosiła długą czarną suknię, wysoko zapiętą pod szyją. Jedyłą ozdobą była róża we włosach. Rodzeństwo popisywało się na przemian lub razem.

Marta zaśpiewała dwie pieśni góralskie, hiszpańską serenadę, po czym nastąpiła wspianiała pieśń „Widziałam cię raz, tylko jeden raz”.

Większość publiczności nie rozumiała tekstu, a jednak zabrzmiały tak huczne owacje, że budynek nieomal zatrząsł się w posadach. Śpiewaczka musiała bisować.

Winnetou oczywiście poznał Franciszka Vogla. Zapytał mnie:

— Czy mój brat nie pójdzie dowiedzieć się ich adresu? Musimy wszak z nimi pomówić.

Miał słuszość. Artyści występowali po raz ostatni. Być może jutro mieli już zamiar odjechać. Trzeba było z nimi koniecznie porozmawiać. Podniosłem się, by do nich podejść. Byłem zmuszony przedzierać się przez tłum widzów, skupionych w przejściu, czym zwróciłem na siebie uwagę. Nagle usłyszałem cichy, lecz przerażony okrzyk:

— Do wszystkich diabłów! To Old Shatterhand!

Obejrzałem się i zobaczyłem dwóch osobników, noszących szerokie sombrera. Spod olbrzymich rond widać było tylko ciemne brody. Widząc, że na nich patrzę, odwrócili się. To mnie zastanowiło. Niestety, wymówione imię zwróciło na mnie mnóstwo spojrzeń. Mocno zażenowany przedzierałem się dalej.

Artyści podczas pauz przebywali za zasłoną. Dotarłszy do niej, zapytałem po niemiecku:

— Czy wolno wejść znajomemu?

Uchyłono kotarę. Wszedłem i stanąłem naprzeciwko Voglów.

— Kto...kto... skąd pan... to pan? — zapytał oszołomiony Franciszek, postępując naprzód dwa kroki.

— Panie doktorze! — krzyknęła niemal Marta.

Miałem wrażenie, że się zachwiała na nogach. Wyciągnąłem rękę, aby ją podtrzymać. Uchwyciła moją dłoń, ucałowała, zanim zdołałem temu zapobiec, i wybuchnęła głośnym łkaniem. Doprowadziłem ją do krzesła, posadziłem łagodnie i rzekłem do Franciszka:

— Jakże się cieszę, że was widzę! Mam wam do powiedzenia wiele ważnych rzeczy, ale nie będę teraz przeszkadzał. Podajcie mi swój adres.

— Ostatni dom przedmieścia, nad rzeką — odpowiedział.

— Czy będę mógł odprowadzić was po koncercie do domu?

— Ależ tak, tak, bardzo pana prosimy!

— Dobrze. Zajdę tu po was. Jest ze mną Winnetou.

Marta ukryła twarz w dłoniach i płakała. Aby swą obecnością nie spotęgować jej rozrzewnienia, wróciłem na salę. Przechodząc koło miejsca, gdzie poprzednio wymieniono moje nazwisko, chciałem się uważnie przyjrzeć obu nieznanym, ale krzesła ich były już puste. Zniknęli.

Dopiero po dłuższej pauzie wyszła na podium para artystów. Marta opanowała się. Najpierw Franciszek zagrał utwór koncertowy, po nim zaśpiewała ona. Zerwała się burza oklasków, gdy przebrzmiały, publiczność dość niechętnie opuszczała salon, urzeczona koncertem. Minęło sporo czasu, zanim sala się opróżniła. Winnetou wyszedł wraz z tłumem, zostawiając mnie samego z Martą i jej bratem. Byłem z tego rad, gdyż rozmawialibyśmy po niemiecku i Winnetou nic by nie rozumiał. Skoro uznałem, że już nikt spośród oczarowanych słuchaczy nie będzie się narzucał śpiewaczce z wyrazami hołdu, uchyliłem zasłonę. Po krótkiej chwili milczenia podałem Marcie ramię i opuściliśmy lokal. Franciszek został, aby załatwić rachunki z gospodarzem.

Niebo wieczorem miało dziwny kolor, właściwy firmamentowi Nowego Meksyku, gdzie często przez cały rok nie pada ani kropla deszczu. Aczkolwiek księżyc nie świecił, było widno, niemal jak za dnia. Dom, w którym oboje zatrzymali się podczas pobytu w Albuquerque, wznosił się w pobliżu rzeki. Gospodyni, Hiszpanka, była wdową. Marta nie chciała zamieszkać w tutejszych gospodach, które noszą wprawdzie nazwę hoteli, lecz nie posiadają żadnych wygód, a są bardzo drogie i do tego skupiają wszelką zbieraninę istot, zagrażających nie tylko spokojowi, ale także osobistemu bezpieczeństwu.

Wąska, wydeptana ścieżka zaprowadziła nas nad brzeg rzeki. Przez krzaki nadbrzeżne widać było obrastającą rzekę gęste sitowie. Gospodyni otworzyła drzwi. Oczekiwała powrotu tylko rodzeństwa, toteż była wielce zdumiona, gdy zobaczyła lokatorkę w towarzystwie obcego mężczyzny. Nic jednak nie mówiąc, oświetliła wąskie schody, prowadzące na piętro, gdzie w trzech pokojach mieszkali Voglowie. Domy z takimi piętrami są nader rzadkie w Albuquerque. Pani domu zapaliwszy lampy, wyszła, uprzednio upewniwszy się, że brat Marty wkrótce nadejdzie.

Siedzieliśmy przez moment naprzeciwko siebie w milczeniu, po czym zacząłem rozmowę:

— Wie pani naturalnie, że Franciszek odwiedził mnie w Europie i poinformował o waszej sytuacji?

— Tak. To ja dodałam mu odwagi, aby się zwrócił do pana.

— Aż odwagi?

— Oczywiście. Myślał, że nie zechce pan się nami zająć po tym wszystkim, co zaszło.

— W takim razie, niestety, nie myśli o mnie tak, jakbym sobie tego życzył. A zresztą to Winnetou skierował go do mnie.

— Tak, Bóg nam zesłał tego wspaniałego człowieka. Wydzwignął nas z nędzy i tylko dzięki jego poparciu finansowemu mogliśmy rozpocząć tournée koncertowe.

— Jak się wam to opłaca?

— Wyśmienicie! Pierwszy nasz występ spotyka się zwykle z rezerwą, potem jednak publiczność domaga się parokrotnego powtórzenia koncertu.

— A teraz dokąd jedziecie?

— Do Santa Fé i dalej na wschód.

— Aha! Nie jest już pani zadowolona z dotychczasowego powodzenia i chce zostać milionerką! — powiedziałem z uśmiechem.

Z opuszczonymi oczami, z wyrazem głębokiej powagi odezwała się:

— Milionerką? O, nie chciałabym po raz drugi nią zostać, w każdym razie za taką cenę, jaką już musiałam zapłacić. Przekonałam się zbyt prędko, że olśniło mnie bogactwo. Mówi pan o moim powodzeniu? Niech pan nie sądzi, że ono mnie upaja! Wie pan, że już wcześniej wolałam śpiewać w domu niż przed publicznością. Nie marzyłam bynajmniej o karierze śpiewaczki, której może słuchać każdy, kto zapłaci za bilet. Byłoby o wiele lepiej, gdyby mnie wówczas nie odkrył kapelmistrz. Zaopiekował się mną, pokierował. Gdyby tego nie uczynił, pozostałabym nadal biedną hafciarką i...

Nie dokończyła zdania, zamyśliwszy się przez chwilę. Ponieważ milczałem, podjęła:

— Byłabym może szczęśliwsza, albo przynajmniej żyłabym w przekonaniu, że jestem szczęśliwa, że jest mi dobrze.

— Mam nadzieję, że nie zalicza się pani do osób nieszczęśliwych?

Podniosła oczy, w zamyśleniu patrzyła w przestrzeń ponad moją głową i dopiero po dłuższej przerwie odezwała się:

— Czym jest szczęście i nieszczęście? Nie należy mieszać szczęścia z wiecznie trwającą radością, a nieszczęścia z nigdy nie ustępującym bólem wewnętrznym. Ale jeśli mnie pan zapyta, czy jestem zadowolona, wówczas odpowiem panu: tak, skoro się do tego... zmuszę.

Rozmowa przybrała nieco męczący obrót. Dlatego ucieszyłem się, kiedy wrócił Franciszek. Przyniósł jakieś zawiniątko. Położył je na stole, a następnie podał mi rękę, mówiąc:

— Serdecznie pana witam, panie doktorze! Któż by mógł przypuszczać!?! Oniemiałem ze zdumienia, ale i z radości, gdy pana ujrzałem. A teraz uczymy nasze spotkanie. Przyniosłem coś na tę okazję. Odgadnijcie, co!?!

— Na pewno wino.

— Tak, ale jakie? Niech pan przeczyta!

— Riedesheimer Berg — przeczytałem.

— Tak — rzekł, śmiejąc się i podsuwając mi pod nos flaszkę. — A teraz dziwi się pan bardzo?

— Nie, wcale nie. Raczej się gniewam.

— Dlaczego?

— Bo to wino nie jest prawdziwe.

— To niemożliwe!

— Nawet etykieta jest podrobiona; miejscowość nazywa się Rudesheim, a nie Riedesheim.

— Ach! — krzyknął rozczarowany, oglądając uważnie etykieta. — Tego nie zauważyłem.

— Myślę, że to nie tylko błąd ortograficzny. Jeśli etykieta została tak wydrukowana, to tym bardziej wino było rozlewane tutaj. Ile zapłacił pan za flaszkę?

— Piętnaście dolarów.

— Za dwie?

— Nie, za jedną.

— Tak, to jeszcze niezbyt wygórowana cena. Bywają Rudesheimery, które na miejscu kosztują więcej. Można jeszcze przeboleć stratę trzydziestu dolarów. A więc skosztujmy!

Napełnił trzy szklanki. Trąciwszy się, podnieśliśmy je do ust. Voglowie już po pierwszym łyku zrobili niezbyt radosne miny. Ja nie piłem wcale, gdyż wystarczył mi zapach. Była to skwaśniała polewka z octu i rodzyneków.

— Niech się pan nie przejmuj — rzekłem. Nie przyszedłem do was na alkohol. Niech pan odstawi ten byle jaki trunek i usiądzie. Pomówimy o czymś ważniejszym.

— Tak, o pańskim pobycie w Egipcie — rzekł, patrząc na mnie z zaciekawieniem. — Zadanie było ponad siły. Jestem przekonany, że nic pan nie wskórał. Nawet najmądrzejszy człowiek na świecie nie potrafiłby odnaleźć poszukiwanego, mając tak nieliczne i mgliste poszlaki.

— Hm! Czasem i we mgle wpadają na siebie ludzie, którzy podczas pogody nigdy by się nie spotkali!

— Co pan powiedział? Czy to ma znaczyć, że pańska podróż nie była jednak daremna?

— To ma znaczyć, że zmuszę pańską siostrę do czegoś, co, jak mi się zdaje, jest jej nader niemiłe.

— Mianowicie?

— Twierdziła poprzednio, kiedy pana tu nie było, że nie ma ochoty zostać znów milionerką.

— Milionerką? Czy do tego właśnie chciałby ją pan zmusić?

— Tak. Mówię z całą powagą.

— To byłoby więcej niż dziwne, więcej niż cudowne! — zawołał, zrywając się z miejsca.

Marta popatrzyła na mnie uważnie, ale nadal milczała.

— Nic cudownego w tej sprawie nie ma — odpowiedziałem. — A dziwne jest tylko to, że jeszcze jej nie możemy zakończyć.

— A więc niech pan od razu przystąpi do rzeczy! Wyraził pan swego czasu przekonanie, że towarzysz Smalla Huntera jest oszustem i nazywa się Jonatan Melton.

— I tak jest istotnie.

— Czy spotkał go pan?

— Tak, jak również i Smalla Huntera. Jednego martwego, drugiego żywego.

— Kto żyje?

— Melton.

— Mój Boże! A więc jesteśmy spadkobiercami ogromnego majątku!

— Milionowego! — dodałem.

Schwycił się za głowę i zawołał:

— Kto mógłby w to uwierzyć!? Co za radość! Chociażby przez wzgląd na rodziców! Teraz czuję, że ze wzruszenia można umrzeć lub zwariować.

Podbiegł do mnie i swoje szczęście Wyraził w mocnym uścisku mojej dłoni. Aby przerwać ten wybuch radości, rzekłem:

— Niech się pan uspokoi! Sprawa nie doszła jeszcze do takiego punktu, aby można było zwariować ze szczęścia. Tak, to prawda, że jesteście spadkobiercami, ale spadku już nie ma. Jonatan Melton sprzątnął go wam sprzed nosa.

— O niebiosa! A więc Fred Murphy wydał mu spadek?

— Tak — odpowiedziałem i wyjaśniłem okoliczności tej afery.

— A więc Melton musi natychmiast zwrócić wszystko! Gdzie jest ten szubrawiec? Bezwzględnie jadę go odszukać i zmusić do zwrotu majątku!

Mówiąc to, przyjął tak groźną postawę i tak wściekłą minę, że Melton, gdyby tu siedział, na pewno struchlałby z przerażenia.

— Gdzie jest ten łajdak? — zapytał wzburzony.

— Tu, w Albuquerque — odpowiedziałem spokojnie.

— Co? Tu... w... Albuquerque?

— Tak. Czy pan nie rozumie? Przecież wyruszyłem w świat, aby zdemaskować tego człowieka. Szedłem po jego tropie, a skoro tu jestem, nietrudno odgadnąć, co mnie sprowadziło.

— Ach, tak! Więc to prawda! Czyli że ten łotr jest tutaj! Będę...

— Stój! — krzyknąłem, gdyż podbiegł już do drzwi. — Poczekajże chwilę! Wszak Melton nie stoi na schodach, aby paść panu w objęcia. Miałem na myśli, że albo jest w tym mieście, albo był w nim i to jeszcze niedawno, najwyżej przed dwoma dniami.

— My tu bawimy od dłuższego czasu. I nie mieliśmy o tym pojęcia! Nie wie pan, czy jeszcze jest tutaj, czy już go nie ma? Więc nie mógł się pan dowiedzieć, w jakim hotelu się zatrzymał?

— Owszem, dowiedziałem się. Prawdopodobnie zajechał do hotelu Plenera.

— Do Plenera! Bywałem tam po kilka razy dziennie! Kto wie, czy nie siedziałem z nim nawet przy jednym stole!?

— Oczywiście, mogło to mieć miejsce.

— I nic nie wiedziałem! Ale to nie moja wina, gdyż nie miałem o tym wszystkim najmniejszego pojęcia! Pan, pan jesteś temu winien! Trzeba było od razu o niego pytać, skoro tylko przybył pan do Albuquerque!

— Pytać? Ani mi się śni! Chętnie przyjmę na siebie tę winę, że byłem zbyt ostrożny. Czy mogłem się jednak pokazać? Gdyby mnie zauważył, od razu by stąd czmychnął.

— To prawda. Wybacz pan! Te miliony całkiem mi rozum zaćmiły.

— Niech się pan uspokoi. Może pan być przekonany, że nie zaniedbam niczego w tej sprawie. Melton narobił nam wiele kłopotów. Wymykał się wciąż nie wskutek naszych błędów, lecz dzięki szczęściu, które mu stale dopisywało.

Opowiedziałem nasze przygody. Naturalnie wysunąłem na pierwszy plan działalność Winnetou i Bothwella. Można sobie wyobrazić, z jaką ciekawością słuchali. Przerywali mi setkami, pytań i okrzyków, wskutek czego opowieść moja trwała bardzo długo. Wreszcie doprowadziłem ją do chwili bieżącej.

Franciszek wyrażał pod naszym adresem swoje najwyższe uznanie. Powstrzymałem go jednak, mówiąc:

— Niech pan to powie nie mnie, lecz sir Emery'emu i Winnetou, których wnet zobaczycie. Obaj zasłużyli na pochwały.

Marta milcząco podała mi rękę, co wzruszyło mnie bardziej niż nadmiernie głośne zachwyty jej brata. Franciszek chodził teraz po pokoju tam i z powrotem, mruczał coś pod

nosem, kiwał głową, wydawał niezrozumiałe dźwięki, groził pięściami, jak gdyby miał przed sobą Meltona.

— Niech pan się wreszcie opanuje, mój miły przyjacielu! — rzekłem. — Potrzeba rozwagi. Ponieważ opowiedziałem wam już wszystko, wrócę spokojnie do hotelu. Zapewne był tam lub jest jeszcze Emery, aby zdać nam sprawę z pobytu u Plenera. Jeśli Melton dotąd nie wyjechał, mamy ptaszka w garści. Ale jeśli go już nie ma, jutro rano wyruszamy w dalszą drogę. Co się zaś tyczy jego ojca i stryja, to... hm, śmiem twierdzić, że są tu, a nawet, że ich widziałem.

Opowiedziałem zdarzenie w sali koncertowej.

— Obaj noszą sombrera? — zapytał Franciszek w zamyśleniu. — Niech mi pan powie, jak wyglądali?

— Chudzi i wysocy, prawie jednakowego wzrostu, bardzo do siebie podobni.

— Zdaje się, że widziałem ich, wracając do domu!

— Gdzie?

— Między tym a pierwszym domem, na ścieżce koło rzeki.

— Ach! Czyżby mnie śledzili!?

— Wątpię! Wszak nie wiedzą, że nas pan odwiedził.

— Myli się pan. Meltonowie są wielce doświadczonymi westmanami. Przypuśćmy, że to istotnie oni są owymi słuchaczami z sali koncertowej. Gdy mnie zobaczyli i rozpoznali, od razu zorientowali się, że przyjechałem tu w pościgu za nimi. Dlatego tak szybko opuścili salę.

— Ale skądże by się tu wzięli?! Nie mogli przecież odgadnąć, że pan pójdzie do nas!

— To prawda. Nie poszli też wprost tutaj, lecz ukryli się w pobliżu miejsca, gdzie odbywał się koncert, aby wysledzić, gdzie mieszkam. Widząc, że odprowadzam pańską siostrę, poszli za nami i zaczęli się w pobliżu, aby napaść na mnie, gdy będę wracał. Przecież sam pan mówił, że widział ich koło rzeki?

— Naturalnie! Musiałem ich wyminąć. A teraz przypominam sobie nawet, że złękli się, usłyszawszy za sobą kroki i szybko się odwrócili!

— Na dworze jest tak jasno, że widać wszystko wyraźnie. Czy zauważył pan, jak byli uzbrojeni?

— Nie przyglądałem się, czy mają noże lub rewolwery. Śpieszyłem się do domu, ale to jedno dostrzegłem, że trzymali strzelby.

— Nikt bez powodu nie włóczy się po mieście ze strzelbą. Na koncert przecież nie zabrali ze sobą broni. A zatem, jeśli zaopatrzyli się w nią po koncercie, to widocznie uważali, że im

się przyda. A to, że czyhają w pobliżu waszego mieszkania, jest niewątpliwie dowodem, iż nastają na moje życie.

Marta chwyciła mnie za rękę, prosząc:

— Na miłość boską, niech pan nie idzie! Musi pan tu zostać!

— Nie mogę. Winnetou i Emery czekają na mnie.

— Zaczekają do jutra!

— Do jutra może się zdarzyć coś, co będzie wymagało mojej obecności. Na pewno obaj wypatrują mnie z niecierpliwością. Muszę iść, stanowczo muszę.

— Ale ja pana nie puszczę! — zawołała, chwytając mnie za drugą rękę. — Oni chcą pana zastrzelić. Niech się pan zastanowi, co to znaczy!

— To znaczy, że już niejeden chciał mnie zastrzelić i strzelał do mnie, a jednak stoję tu przed panią cały i zdrowy.

— Ale teraz niebezpieczeństwo jest zbyt duże! Na ulicy czekają dwaj mordercy... Niech pan pomyśli, dwaj mordercy!!

— Niebezpieczeństwo byłoby większe, gdybym o tym nie wiedział. Lecz skoro wiem, nie ma obawy. Możliwe są dwie ewentualności: albo Meltonowie domyślili się, że pan mnie o nich powiadomił, w takim razie poszli sobie, wiedząc, że jestem ostrożny...

— A druga ewentualność?

— Że nie odeszli i aby mnie zaskoczyć, zaszyli się w zagajniku nad rzeką. Wobec tego wrócę inną drogą.

— Pójdą za panem i wykonają swój plan. Nie! Niech pan zostanie tutaj, proszę, błagam!

Prosiła szczerze i gorąco. Widziałem, że istotnie się lęka, ale nie mogłem ulec jej prośbom. Odpowiedziałem, uwalniając rękę z uścisku:

— Niech mnie pani nie usiłuje zatrzymywać. Muszę iść, muszę naprawdę, gdyż...

Naraz rozległ się wystrzał, a zaraz potem drugi. Jakiś głos zawołał:

— To tam! Tam są ci przestępcy! To był głos Emery'ego. Złapawszy ze stołu lampę, wręczyłem ją Franciszkowi, mówiąc:

— Niech pan poświeci! Prędko, prędko! Muszę iść!

Marta chcąc mnie zatrzymać, chwyciła za rękaw, lecz wyrwałem się jej i wybiegłem na schody. Na dole nie mogłem otworzyć drzwi. Przywołałem Franciszka nagłym głosem. Wreszcie znalazłem się na dworze, ale mimo jasnej nocy nic nie można było zobaczyć.

Na górze, na schodach stała Marta i wołała:

— Niech pan wróci! Słyszał pan, że to nie przelewki!

— Dla mnie niebezpieczeństwo już minęło — odpowiedziałem. — Bandyci zostali spłoszeni, ale jeśli ich kule były celne, mogły trafić Winnetou.

— Winnetou? — zapytał Vogel z trwogą w głosie. — Sądzi pan, że to był on?

— Tak. Poznałem głos Bothwella. Emery nie wiedział, że jestem u was. Musiał się więc dowiedzieć od Apacza, a ten nie puściłby go samego.

— I lęka się pan o Winnetou?

— Tak. Jeśli kula nie chybiła, to mogła go ranić. A Emery, jak można było sądzić po okrzyku, pobiegł za złoczyńcami. Głosu Apacza nie słyszałem. Musiał... Ach, Bogu dzięki, nadchodzą dwie postacie! Kamień mi spadł z serca. To oni, i zdaje się, żaden nie jest ranny!

Obaj biegli na przełaj przez puste pole. Rzeczywiście, byli to Winnetou i Emery. Pobiegłem im z radością naprzeciw i krzyknąłem:

— Czy żaden z was nie jest ranny?

— Nie — odpowiedział Emery. — Strzały były dobrze pomyślane, lecz źle wymierzone. Kto wie, kto to był. W każdym razie para tutejszych nocnych rycerzy. Wzięli nas zapewne za kogoś innego.

— Nie sądz tak pochopnie! Na mnie czyhali ci rycerze. To na pewno starzy Meltonowie.

— Czy to być może!?

— Nie tylko może, ale nawet jest wielce prawdopodobne.

— Do kroćset diabłów! Gdyby tak istotnie było, zamartwiałbym się do samej śmierci! Z czego to wnioskujesz?

— Zaraz się dowiesz. Ale muszę wpierw wiedzieć, dokąd uciekli;

— Hm, w każdym razie daleko!

— I nie dogoniliście ich? Wszak Winnetou jest doskonałym biegaczem! Teraz odezwał się Apacz:

— Winnetou pobiegł za nimi. Niemal ich już doścignął, gdy obaj dopadłszy koni, szybko odjechali.

— Aha, więc to tak? A ponieważ nie mieliście broni, nie mogliście strzelać. Plan był wcale nieźle pomyślany. Uciekli i teraz szukaj wiatru w polu.

— Tak sądzisz? — zapytał Emery. — Jeśli się jednak wrócą i gdzieś przyczają, to znowu grozi nam niebezpieczeństwo.

— Uciekli bez wątpienia. Ponieważ widzieli was i rozpoznali, przynajmniej Winnetou, więc nie odważą się powrócić. Chodźcie ze mną na górę.

Byłem zadowolony, że przyszli. Mogliśmy na miejscu omówić z Franciszkiem Voglem dalsze postępowanie. Marta była bardzo ucieszona widokiem moich przyjaciół, którym tyle zawdzięczała. W pokoju zagadnąłem Emery'ego:

— Przede wszystkim opowiedz, jak do tego doszło?

— Źle się stało — mówił z wściekłością. — Gdybym przypuszczał, że te draby sterczą tu, w polu, to...

— W polu? — przerwałem.

— Tak. A gdzie myślałeś?

— Nie w zagajniku nad rzeką?

— Nie. Dlaczego o to pytasz?

— Później ci wyjaśnię. Opowiadaj dalej!

— Wróciłem do hotelu, aby się z wami porozumieć i zastałem tylko Winnetou, który mi powiedział, kogo spotkałeś. Czekaliśmy na ciebie dość długo, a ponieważ nie wracałeś, więc wyszliśmy ci naprzeciw.

— Przecież Winnetou nie wiedział dokąd poszedłem.

— To dla nas frazka! Nie jesteśmy dziećmi, potrafimy zasięgnąć języka. Oczywiście, pytaliśmy o mieszkanie państwa Pajaro. Właśnie obchodziliśmy wybrzeże, aby się przekonać, czy nie zatrzymała cię tam jakaś zła przygoda, gdy naraz w odległości czterdziestu czy pięćdziesięciu kroków podniosły się z prawej strony w polu dwie postacie. Widzieliśmy, jak chwycili za broń, i padliśmy na ziemię w chwili, gdy huknęły wystrzały. Po czym zerwaliśmy się na równe nogi i pobiegliśmy ku strzelającym. Szubrawcy zmykali co tchu w piersiach. Winnetou wyprzedził mnie; wiesz, że biega lepiej. Zbliżał się do nich coraz bardziej. Naraz wyrosły, jakby spod ziemi, dwa wierzchowce, których wnet dopadli i ruszyli galopem. Taki był przebieg zdarzenia.

Lekki uśmiech przemknął przez piękną twarz Winneou.

— Winnetou był już tak blisko jednego z nich, że uchwycił wierzchowca za ogon, ale musiał puścić go po pierwszym skoku.

— Wszak mieliście rewolwery. Dlaczego nie strzelaliście

— Nie wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia — odpowiedział Emery, — Gdybym przypuszczał, że to Meltonowie, inaczej bym postąpił!

— Niech mój brat tak nie mówi — rzekł Apacz. — Zachowaliśmy się jak dzieci. Strzelali do nas, są więc mordercami, a mordercom nie pozwala się zbiec. Nie powinniśmy byli się zrywać. Pomyśleliby, że jesteśmy ranni, a może nawet zabici i zbliżyliby się do nas, a wówczas... Czy mój brat Emery wie, co byśmy wówczas zrobili?

— Do wszystkich diabłów! — zawołał podnieconym głosem Bothwell. — Naturalnie, że wiem! Złapałibyśmy ich. Nie nas przecież uczyć, jak się traktuje takich łotrzyków! Tak, masz słuszość. Postąpiliśmy jak sztubacy. Jakże można było tak zbaranieć?! Powiedz mi tylko, Charley...

— Łatwo powiedzieć — odparłem. — Przecież nic nie podejrzewając, szliście swoją drogą. Byliście zaskoczeni, gdy tu, tak blisko miasta, znienacka powitano was strzałami. Dowodzi to niezwyklej przytomności umysłu, że natychmiast padliście na ziemię. Nikt nie może żądać więcej od najzręczniejszego nawet i najstynniejszego westmana.

— To mnie pociesza. A jednak lepiej byłoby uciec się do fortelu Winnetou. Cóż, przepadło. Nie mówmy już o tym wypadku, nie przysparzajmy sobie zgryzoty.

— Tak, mówmy lepiej o wiadomościach, które zdołałeś zebrać. Czy masz coś ważnego?

— Tak. Jonatan Melton był tu i zatrzymał się z narzeczoną u Plenera.

— Kiedy?

— Wczoraj przed obiadem. Oboje posilili się, zmienili zaprzęg i niezwłocznie odjechali.

— Karetą?

— Tak. Plener dał im przewodnika. Pojechali przez Aconę do Kolorado.

— Gdyby w to można było wierzyć! A jeśli chcieli wyprowadzić nas w pole?

— W takim razie Plener byłby z Jonatanem w zмовie.

— Niekoniecznie. Jonatan mógł go przecież oszukać, aby i nas okpić.

— Może. Plener robi wrażenie hotelarza kutego na cztery nogi, ale łotrem nie jest na pewno. I po co by Jonatan się trudził, aby zachować ostrożność? Wszak jest pewny, że zginęliśmy w Dolinie Śmierci.

— Być może. I właśnie dlatego nie zacieram za sobą śladów. Czy to już wszystko?

— Nie. Plenerowi nie chciałem zadawać zbytnio pytań. Zwróciłem się do jego ludzi, ale nic z nich nie mogłem wyciągnąć. Wobec tego wieczorem znów zagadnąłem hotelarza. Powiedział, że dziś przed obiadem przyszli do jego restauracji dwaj mężczyźni, urządzili wesołą pijatykę i dopytywali się o Jonatana. Udzielił im tych samych informacji co i mnie. Wkrótce potem odeszli.

— Przyszli więc pieszo?

— Tak. A teraz jeszcze przypominam sobie, że napomknął, iż nosili na głowach wielkie sombrera.

— A zatem byli to obaj starzy Meltonowie. Przezornie nie zajechali do Plenera, lecz tylko wstąpili na chwilę.

— Ale dlaczego pozostali w mieście do wieczora, a nie udali się natychmiast w ślad za swoim Jonatanem?

— Prawdopodobnie dlatego, że byli zmęczeni i że chcieli dać wypoczynek koniom.

— Mogli przecież zamienić zmęczone wierzchowce na wypoczęte. Chyba że nie posiadają pieniędzy.

— Jonatan z pewnością obdzielił ich gotówką. Przybyli tu inną drogą niż on ze względu na przezorność. Dziś wieczorem dla rozrywki poszli na koncert i ujrzeli mnie. Wywnioskowali stąd całkiem trafnie, że dotrzymujecie mi towarzystwa. Skradając się za mną i czatując, wypatrywali nas nad rzeką. Lecz najpierw wyminął ich pan Vogel. Wiedzieli, że jest bratem Marty, u której goszczę, i przypuszczali, że mnie ostrzeże.

— A jednak nie uciekli. Sądzieli, że będziemy myśleć, iż wzięli nogi za pas.

— Byłem sam jeden i przy tym nieuzbrojony. Wiedzieli o tym, więc łatwo byłoby mnie zastrzelić. Mogli do mnie celować z odległości dalszej niż strzał z rewolweru. Jakże sobie sprytnie to obmyślili!

— Sprytnie? Wręcz przeciwnie. Jestem zdania, że nie mogli bardziej głupio postąpić.

— O nie! Postąpili chytrze, nie zaczęli się przecież nad rzeką. Byłem ostrzeżony, że tam właśnie czatują. Stąd można było przypuścić, że pójdę przez pole. Istotnie, tak właśnie zamierzałem zrobić. Czekali zatem w polu, niedaleko rzeki, aby mnie zastrzelić, gdybym szedł nadbrzeżną ścieżką. Potem zobaczyli was i rozpoznali.

— Mnie również? — zapytał Emery.

— Naturalnie. Winnetou nietrudno poznać, nawet w większym mroku niż dzisiaj. Mnie widzieli przedtem. Teraz ujrzeli Winnetou, więc domyślili się, kim ty jesteś. Byliście dla nich równie niebezpieczni, jak ja. Dlatego potraktowali was kulami przeznaczonymi dla mnie. Musimy dziękować Bogu, że wniwecz obrócił ich zamiary.

— Tak. Z początku tobie groziło niebezpieczeństwo, ale potem nam śmierć zajrzała w oczy. Podczas gdy kule gwizdały nad nami, ty siedziałeś tutaj bezpiecznie. Ale skąd im przyszło na myśl trzymać konie w pogotowiu?

— Ponieważ zobaczyli mnie na koncercie. Być może, dostrzegli także Winnetou. Wiedząc, że będziemy ich szukać, pomyśleli wcześniej o ucieczce. Gdy wysledzili, dokąd poszedłem, wrócili po konie i ukryli je w pobliżu, aby zaraz po zabójstwie móc uciec.

— Dokąd pojechali?

— Zapewne w ślad za Jonatanem, Nie ulega wątpliwości, że umówili się z nim przed wyjazdem z Nowego Orléanu.

— Lecz skoro przybyli tu inną drogą, tak samo inną mogą teraz pojechać?

Wówczas odezwał się Winnetou:

— Zamek białej squaw, który jest celem ich ucieczki, Wznosi się między Kolorado a Sierra Blanca. Prowadzi tam tylko jedna dogodna droga, o czym wiedzą ci, którzy już tam byli. Tę właśnie drogę obrała blada twarz, Jonatan. Dlaczego to jego ojciec i stryj mieliby jechać gorszymi drogami?

— I ja tak sądzę—potwierdziłem.— Starzy Meltonowie są nader zuchwałymi łotrami. Nie zadają sobie wiele trudu, chyba że zmusi ich do tego konieczność. Jestem bezwzględnie przekonany, że pojedą drogą wiodącą do Acony. Jutro skoro świt wyruszymy za nimi w pościg.

— Ja wam towarzyszę! — zawołał podniecony Franciszek.

— Pan? — roześmiałem się. — Czy chce pan koncertować na wierzchołkach Sierra Blanca?

— Świerzbi mnie, żeby zagrać Meltonom taką melodię, jakiej by nigdy nie zapomnieli.

— Pozostaw to nam, drogi przyjacielu. Jest pan bardzo dobrym skrzypkiem, ale to nie pańskie nuty kryją się w kanionach Kolorado. Jedziemy za Meltonami, aby im odebrać spadek i w tej podróży pan się nam nie przyda. Wyprawa nasza nie potrwa długo. Niech pan jedzie tymczasem z koncertami do Santa Fé. Odwiedzimy was tam i złożymy u waszych stóp miliony.

— Nie, nie. Pan będzie ścigać bandytów, a ja w tym czasie mam koncertować? Nie potrafiłbym ciągnąć smyczkiem po strunach! Niech mi pan nie sprawia przykrości i nie skazuje na bezczynność! Chyba nie miałbym honoru, gdybym na to przystał. —

Właściwie miał rację, bo istotnie narażalibyśmy się dla niego. Nie dziw, że chciał dzielić nasz los. To samo chyba pomyślał Emery, albowiem zapytał:

— Czy umie pan znośnie jeździć konno?

— Nie tylko znośnie. Nauczyłem się tego, przebywając na wsi.

— A obchodzić się z bronią?

— Mistrzem w strzelaniu nie jestem, ale już nieraz strzelałem i jeśli podejść na odległość kilku kroków, to na pewno nie chybię.

— Hm. Jak myślisz, Charley? Chłopak ma odwagę.

Wzruszyłem ramionami, ale nie oponowałem. Istnieje bowiem także odwaga, która wypływa z nieznamości sytuacji i z nieumiejętności przewidywania niebezpieczeństwa.

Teraz i Marta zaczęła prosić, abym zabrał ze sobą jej brata. Zauważyła moją niechęć, więc zwróciła się do Emery'ego. Rycerski Anglik nie był z gatunku silnych mężczyzn i nie mógł się oprzeć prośbie pięknej, młodej kobiety.

— Czy widzisz jakieś ważne przeszkody, Charley?

— Nie. Lecz porozmawiaj o tym z Winnetou. Niech on rozstrzygnie.

Skoro wspominam o Winnetou, muszę wyjaśnić, że chociaż rozmawialiśmy po niemiecku, to jednak w miarę potrzeby tłumaczyliśmy mu przebieg rozmowy. Gdy tylko Emery wyłożył całą rzecz, Apacz rzekł:

— Winnetou jest temu przeciwny, albowiem ten młody człowiek będzie nam tylko przeszkadzać, zamiast pomagać. Ale ponieważ chodzi o jego pieniądze, które przywłaszczyli sobie złodzieje, zatem nie możemy odmówić jego życzeniu. Niech się jednak nie łudzi, że droga nasza będzie usłana różami. Całe osiem dni spędzimy w siodle, zanim dotrzemy do celu.

— Na pewno to przetrzymam — rzekł po angielsku Vogel.

— Jeśli mój młody brat zdobędzie do świtu dobrego konia z siodłem i cugłami oraz broń z amunicją, to niech z nami jedzie, w przeciwnym razie nie będziemy nań czekać, bo czas nagli.

Franciszek ujął mnie za rękę i poprosił:

— Niech mi pan pomoże, drogi panie doktorze! Koni w Albuquerque nie brak, broni i amunicji także, aczkolwiek ceny są wygórowane. Większość sklepów jest jeszcze otwarta. Czy zechce pan pójść ze mną?

— Chętnie. Załatwimy to prędko i będziemy mogli jeszcze przez kilka godzin się przespać. Teraz nastąpiło coś, czego się nie spodziewałem. Mianowicie Marta zapytała:

— Czy sądzi pan, że Judyta z Jonatanem dojadą szczęśliwie?

— Tak sądzę.

— W takim razie, proszę, niech pan kupi drugiego konia i damskie siodło!

— Czy dobrze panią rozumiem? Chce pani kupić dla siebie wierzchowca?

— Tak, Pojadę z panami.

— Nic z tego! Na to nie możemy się zgodzić.

— Czy Judyta nie znosi podobnych trudów podróży?

— Ona podróżuje w karecie. To co innego.

Nie mogłem jej jednak przekonać. Emery musiał w duszy śmiać się z życzenia Marty, zachował jednak powagę i grzeczność, nie protestował. Zwróciliśmy się przeto do Winnetou, gdyż byłem przekonany, że Apacz potrafi stanowczo odmówić, nie urażając jej ambicji. I tak też się stało.

Atak młodej, przedsiębiorczej kobiety był zatem zwycięsko odparty. Pożegnaliśmy się z Martą. Winnetou i Emery poszli do hotelu, ja zaś z Voglem udałem się na poszukiwanie wierzchowca oraz sprzętu podróżnego, w który musiał się Franciszek zaopatrzyć. Szczególnie

wiele kłopotu mieliśmy z nabyciem konia. Pokazywano nam stare zapracowane szkapy, ale szlachetnego zwierzęcia nie widzieliśmy nigdzie.

Kołataliśmy do wielu drzwi, wrywając ze snu mieszkańców, aż wreszcie jakiś człowiek sprzedał nam za podwójną cenę starego, ale jeszcze dość sprawnego konia. Wiedział bowiem spryciarz, że bardzo nam na koniu zależy.

Zrobiło się już późno. Vogel, który musiał jeszcze poczynić przygotowania do podróży, nie miał czasu na spoczynek. Przyszedł do nas w godzinę po świcie. Niebawem przepawiliśmy się przez rzekę do wsi Atrisco, a następnie udaliśmy się na południowy zachód do Rio Puerco.

Pomijam milczeniem szczegóły tej jazdy, muszę tylko wspomnieć, że Franciszek trzymał się na koniu nieźle. Ponieważ jednak wierzchowiec jego nie dotrzymywał kroku naszym komanczowskim rumakom, musieliśmy jechać wolniej. Gdzieniedzie napotykaliliśmy wyraźny trop dwóch koni. Bezspornie należały do Meltonów. Wyprzedzili nas o całą noc jazdy, jednakże pewne nieomyłne znaki wskazywały, że zbliżamy się do nich chociaż powoli, ale nieustannie. Gdyby nie jechał z nami Franciszek, moglibyśmy doścignąć ich bardzo szybko.

Wieczorem drugiego dnia dotarliśmy do Acony, do starego indiańskiego puebla, gdzie — jak sądziliśmy — zatrzymali się też obaj Meltonowie.

Pueblo jest to warowne miasto dawnych mieszkańców tego kraju. Zostało ich w Nowym Meksyku około dwudziestu. Najznaczniesze to Taos, Laguna, Isleta i Acona. Nie należy sobie wyobrażać tych starych miast i wiosek jako miejscowości zabudowanych domami i pociętych szeregami ulic. Wznoszono je jako fortece dla obrony przed napadami wrogów.

Proszę sobie wyobrazić dwie dosyć oddalone od siebie ściany skalne, między którymi leżały niegdyś większe i mniejsze bloki. Zwalono je razem i zlepiono gliną, aż powstał mur wysokości jednego piętra, który sięgał od jednej do drugiej ściany. Nie było w nim ani drzwi, ani okien. Przestrzeń zawartą między murem a skałami zabudowano dalszymi ścianami z gliny w szereg czworokątów, po czym całość pokryto u góry grubą warstwą gliny, w której zrobiono otwory, stanowiące wejścia do czworoboków i mieszkań. Nad tą parterową budowlą wzniesiono z tego samego materiału i w ten sam sposób drugie, trzecie i dalsze piętra, lecz tak, że każde wyższe piętro było cofnięte o parę lub więcej metrów, a zatem miało jak gdyby taras na dachu niższego piętra. Zasadniczo otwory w dachach służą zamiast drzwi i okien. Aby dostać się do mieszkania, trzeba się wspiąć na wyższe piętro i stamtąd przez odpowiedni otwór zejść jakby do piwnicy. Dostać się zaś na taras parterowy można tylko za pomocą drabiny. Kiedy się więc drabinę wciągnie na płaski dach, dostęp dla wroga jest utrudniony i

niebezpieczny. Na wyższe piętra prowadzi czasem ułożony w kształcie stopni mur, ale najczęściej także i tu używa się drabin, które w każdej chwili mogą być wciągnięte na górę. Budowle te ongiś doskonale służyły ku obronie. Gdy wszystkie drabiny zostały wciągnięte na górę, wróg musiał przystawiać własne i wdrapywać się na platformę parteru, przy czym wystawiał się na strzały ze wszystkich wyższych pięter, a poza tym na niebezpieczeństwo ataku z wnętrza dolnego piętra. A gdy po morderczej walce opanował pierwszą platformę, musiał ponowić niebezpieczne wysiłki, aby dostać się i wywalczyć drugą. Przy tym nie miał żadnej osłony, podczas gdy system tarasowy budowli stanowił wysmienitą osłonę dla atakowanych.

Tak wyglądało prawidłowo zbudowane pueblo. Ale takich klasycznych było mało. Zazwyczaj są to nieprawidłowo skłcone kompleksy najrozmaitszych komórek z gliny, wyglądające jak szkaradne rumowiska i wzniesione zwykle w ponurych miejscowościach. W takich pustych wewnątrz kostkach z gliny żyło niegdyś bardzo wiele ludzi. Teraz ludność pueblów jest znacznie przerzedzona.

Mieszkańców puebla nie można porównywać z Indianami preriowymi. Są to dobroduszni, zacofani ludzie, zapewne podupadli potomkowie Azteków.

Indianie ci zajmują się po części rolnictwem, po części chowem bydła i chałupnictwem, ale produkcja ich stoi na bardzo niskim poziomie. Niewielkie połacie ziemi, leżące zwykle w pobliżu puebla, uprawiają prymitywnymi narzędziami rolniczymi. Także prymitywna jest hodowla bydła. Trzodę stanowi najczęściej kilka chudych świń i kilka kur oraz parę swobodnie biegających psów. Chałupniczo wytwarzają koszyki, torby, maty i inne plecionki. Wypalają dzbany, misy i urny, a także lepią z gliny różne figurki.

Winę za niedolę tych biednych ludzi ponoszą kolonizatorzy hiszpańscy, którzy celowo utrzymywali wśród nich ciemnotę i zacofanie, za wszelkie przewinienia surowo karząc, do kary śmierci włącznie.

Do Acony przybyliśmy późnym popołudniem. Natychmiast zbiegli się jej mieszkańcy i jęli spoglądać na nas niezbyt przychylnym wzrokiem. Widocznie musieli mieć ku temu powody. Nie chcieliśmy wdawać się z nimi w rozmowę, zapytaliśmy tylko o gubernatora*, chcąc uzyskać od niego informacje dotyczące Meltonów. Zsiadliśmy z koni, lecz żaden mieszkaniec puebla nie chciał ich przytrzymać za uzdę ani wskazać nam drogi do wody, ani nawet zaprowadzić do gubernatora. W tłumie otaczających nas osób nie widać było żadnej młodej dziewczyny, ale za to sporo bardzo pięknych chłopców.

* wójt

Ponieważ nie odpowiedziano nam na powitanie, a wręcz przyjęto wobec nas wrogą postawę, musieliśmy radzić sobie sami?

Przywiązawszy konie do skalnej Ściany, rozglądaliśmy się za wodą. Odprowadzano nas ponurymi, niechętnymi spojrzeniami.

Znalazłem się z Emerym w małym ogródku, gdzie poza niewielu warzywami rości kilka kwiatusków. Emery schylił się, aby wyrwać rzodkiew, za którą by oczywiście dobrze zapłacił. Spotkało się to jednak z ostrym protestem jednego z chłopców. Odciągnąłem przyjaciela z miejsca zajścia, a sam wróciłem do ogródka. Tłum natomiast podążył za Emerym.

Na grządce pozostał jedynie chłopak, broniący rzodkwi. Obejrzał mnie niepewnym wzrokiem, potem szybkim ruchem zerwał jeden kwiat, wręczył mi i rzekł:

— Dziękuję! Rzodkiew była dla mego ojca. Jest to nasza ostatnia rzodkiew.

Był to głos dziewczęcia. Teraz przypomniałem sobie, że w niektórych pueblach dziewczęta ubierane są jak chłopcy. Noszą spodnie i zaczesują na bok krótko obcięte włosy, wskutek czego trudno je od chłopców odróżnić. Chętnie bym jej w zamian coś ofiarował, ale co? Przypomniało mi się nagle, że mam przy pasie mały srebrny futerał od zgubionego ołówka. Wyjąłem go i podałem dziewczęciu.

— Weź to za kwiatek, piękna panienko.

Spojrzała na mnie zdumiona, lecz nie wyciągnęła ręki. Drobiazg wydał jej się czymś niezmiernie cennym, niedoścignionym przedmiotem marzeń.

— To dla mnie? — zapytała, ale mimo niedowierzania w jej oczach pojawił się błysk radości.

— Tak. Twój kwiat bardziej mi jest miły niż to małe etui.

— A mnie twoje etui o wiele miłsze niż mój kwiat. Dziękuję ci! Jesteś dobry, bardzo dobry. Spostrzegłam to od razu.

Wzięła futerał, pocałowała szybko moją dłoń i uciekła z radosnymi okrzykami, aby wspiać się po drabinie do mieszkania i ukryć swój skarb w bezpiecznym miejscu. Jakaż drobnostką można czasem uszczęśliwić człowieka — pomyślałem. I jak nieraz opłaca się jedno przyjaźnie wypowiedziane słowo! Miałem się o tym wkrótce przekonać.

Niebawem przyszedł po nas Winnetou. Odkrył rodzaj cysterny, w której gromadziła się woda ze skąpych całorocznych opadów. Zaprowadziliśmy tam konie i zaczęliśmy czerpać wodę glinianymi naczyniami, zawieszonymi na sznurze. Lecz wnet przybiegli z krzykiem Indianie, aby nam przeszkodzić. Winnetou, Emery i Vogel sięgnęli po broń. Pueblasi cofnęli

się, bo wiedzieli, że mimo liczebnej przewagi, nie poradzą sobie z naszymi strzelbami. Ich własna broń była godna pożałowania.

Nie ulegało wątpliwości, że ci biedni ludzie mają wszelkie prawa do swojej wody. Uważałem, że nie można korzystać z niej przemocą. Musieli przynajmniej coś za to dostać. Poprosiłem przyjaciół, aby schowali broń, a sam rozdałem Indianom kilka srebrnych monet jako zapłatę za wodę. Natychmiast zmienili swój stosunek do nas i pozwolili nam czerpać ją do woli.

Ponieważ zbliżał się wieczór, musieliśmy poszukać miejsca na nocleg. Wroga postawa Indian nie pozwalała przenocować w pueblu lub nawet w jego pobliżu. Nie przypuszczaliśmy jednak, aby mogli dopuścić się na nas jawnej napaści. Odjechaliśmy na znaczną odległość i ułożyliśmy się do snu w szczerym polu. Czuwaliśmy na zmianę.

Nie minęły jeszcze dwie godziny od zmierzchu, gdy z daleka wyłoniła się jakaś postać, która powoli zaczęła się do nas zbliżać. Kiedy podeszła bliżej, usłyszeliśmy nieśmiały głos:

— Chcę rozmawiać z dobrym seniorem.

Poznałem głos dziewczynki, która ofiarowała mi kwiat.

— Idź do niej! — rzekł Emery. — Na pewno ciebie ma na myśli.

Kiedy podeszedłem, dziewczynka rzekła:

— Musimy rozmawiać cicho, gdyż przybiegłam tu potajemnie, nie chcę bowiem, aby ci wyrządzono krzywdę.

— Któż by miał mnie skrzywdzić?

— Obaj biali, którzy dziś do nas przybyli.

— Ach, widziałaś ich zatem? Kiedy to było?

— Trzy godziny przed waszym przyjazdem.

— Na jak długo się tu zatrzymali? Podeszła do mnie bliżej i szepnęła:

— Jeszcze są u nas.

— Jeszcze są? To dla nas bardzo ważna wiadomość! Jesteśmy ci za nią ogromnie wdzięczni.

— O, nie! To ja przybiegłam tutaj, aby okazać ci moją wdzięczność. Obaj biali mówili o was. Oznajmili naszym, że przyjedziecie wkrótce po nich.

— I podjudzali was przeciwko nam?

— Tak. Zapowiedzieli, że splądrujecie nasze pueblo i że chcecie znieważyć naszych bogów.

— Ani nam to przez myśl nie przeszło! Co jeszcze mówili?

— Że jesteście niebezpiecznymi ludźmi, że popełniliście już wiele morderstw i chcecie nas ograbić.

— Wstrętne kłamstwo. Wręcz przeciwnie! To obaj biali są mordercami i złodziejami! Już niejedną zbrodnię mają na swoim sumieniu. Dlatego ścigamy ich, aby pojmać i ukarać. Jesteśmy uczciwymi ludźmi. Czy mi wierzysz?

— Tak, wierzę ci, senior. Nie wyglądasz na złego człowieka i zachowałeś się w stosunku do nas bardzo przyjaźnie. Dlatego przybiegłam aż tutaj, aby was ratować.

— Ratować? A więc grozi nam niebezpieczeństwo?

— Tak, niebezpieczeństwo. Nie mogę osądzić jak duże, ale obaj biali są jeszcze tutaj i myślę, że knują coś przeciwko wam.

— Gdzie przebywają? Czy możesz mi wskazać?

— Mogłabym, ale nie powinnam. Nie chcę być zdrajczynią swego plemienia.

— Dobrze, nie będę cię pytał. Ale wszak możesz powiedzieć, w czym tkwi to niebezpieczeństwo?

— Przypuszczam, że grozi wam śmierć. Co ma się naprawdę wydarzyć, o tym wiedzą niektórzy nasi mężczyźni — kobietom i dzieciom nic nie wyjawiono. Ale właśnie to każe mi sądzić, że coś niedobrego i okrutnego przeciwko wam się szykuje.

Rzekłszy to, uciekła tak szybko, że nie zdążyłem jej nawet podziękować. Przekonałem się więc znowu, że dobroć popłaca. Nie ufaliśmy Indianom, ale nie myśleliśmy o niebezpieczeństwie. Dziewczę, być może, uchroniło nas od śmierci.

Towarzysze moi bylinie mniej zdziwieni, kiedy powtórzyłem im słowa dziewczynki. Emery chciał natychmiast jechać do puebla, aby pociągnąć mieszkańców do odpowiedzialności. Ale Winnetou oświadczył:

— Niech mój brat się nie śpieszy! Ci biedni ludzie zaufali kłamcom i oszustom. Czyż dlatego należy ich zabijać?

— Zasłużyli na śmierć, gdyż godzą w nasze życie — odpowiedział Bothwell.

— Nie przekonaliśmy się jeszcze o tym. Zresztą jest ich wielu, a nas tylko czterech.

— Nie obawiam się ich wcale!

— Mój brat na pewno nie przypuszcza, żeby Winnetou się lękał, ale czterej mężowie, jakkolwiek odważni, nie mogą napaść na pueblo, a tym bardziej napaść jawnie.

— Ale musimy ich zmusić do wydania Meltonów!

— Zmusić? A zatem walczyć z nimi? Tego właśnie bym się wystrzeżał. Jeśli na nich napadniemy, Meltonowie albo im pomogą, albo też skorzystają z zamieszania i umkną. Tylko sprytem możemy dopiąć celu. Poczekajmy, aż przyjdą do nas. Wiedzą chyba, gdzie

obozujemy. Powinniśmy się przenieść, albowiem na pewno zaczną nas szukać; tego możemy się po nich spodziewać. A wówczas łatwo nam będzie ich schwytać.

Jego słowa trafiły nam do przekonania. Zastosowaliśmy się do tego planu i przenieśliśmy biwak znacznie dalej. Ponieważ byliśmy ostrzeżeni, mogliśmy się tylko cieszyć z obecności Meltonów w pueblu. Nie trzeba już było uganiać się za nimi. Mieliśmy ich tutaj i chyba nie przecenialiśmy swoich sił, wierząc, że niechybnie wpadną w nasze ręce.

— Kto wie, czy w ogóle szykowało się coś przeciwko nam — rzekł Emery. — Przecież dziewczę mogło się omylić.

— Nie sądzę — odparłem.

— Ale nikt nie nadchodzi!

— A to dlatego, że nie znaleziono nas na dawnym miejscu i że Indianie zrozumieli, jak niebezpiecznie jest się do nas zbliżyć.

— A więc musimy czekać dnia. Ale powtarzam, trzeba będzie zmusić mieszkańców puebla, aby wydali nam Meltonów!

— Meltonów już nie będzie. Jeśli przez noc nic złego nam się nie stanie, Meltonowie nie będą się dłużej ociągać i czym prędzej pojedą dalej.

— Może jednak zostaną, licząc na pomoc tutejszej ludności?

— Nie mogliby chyba popełnić większego głupstwa. Jeśli bowiem zostaną, aby wraz z Indianami nas zaatakować, to chyba nie wątpię, że mogą wpaść nam w ręce albo też zginąć od naszych kul. Są zbyt szczeni, aby tego nie rozumieć. Znają także dosyć dobrze psychikę tutejszych plemion, a więc wiedzą, że nie podejną do nas zbyt blisko, gdyż nasze strzelby niosą kule o wiele dalej niż ich broń. Jestem przekonany, że uciekną stąd na pewno.

— Możemy jednak — temu zapobiec, przenosząc się na zachód od puebla. Myślę, że w tym kierunku będą uciekać. A wtedy prawdopodobnie spotkamy ich, jeśli oczywiście nie wyminą nas z dużej odległości.

Winnetou przyznał mi słuszność. Po raz drugi tej nocy zmieniliśmy miejsce postoju. Winnetou i Emery ułożyli się do snu, ja zaś poszedłem na czaty w prawo, a Vogel na lewo. Chcąc słyszeć lepiej, przyłożyłem ucho do ziemi.

Czekałem przez dłuższy czas w bezruchu, jednak bezskutecznie. Od świtu dzieliły nas już tylko trzy kwadransy. Naraz usłyszałem jakieś dalekie odgłosy. Dobiegały one od strony Franciszka i jeśli się nie myliłem, był to tętent koni, które wybiegły z puebla na równinę. Podniosłem się z ziemi i ruszyłem w kierunku Vogla.

— Czy nie słyszał pan czegoś? — zapytałem.

— Tak. Ludzkie kroki.

— Ile nóg mogło stąpać?

— Nie potrafię liczyć uszami. Było ich jednak wiele par. Szły z puebla i wyminęły nas, lecz dosyć daleko.

— Słyszałem to samo. Ale pan się myli. To nie byli ludzie, tylko konie.

— Mógłbym się założyć, że to ludzie. I na pewno było ich ponad dziesięciu.

— Nie ma pan mojej wprawy. Były to tylko dwa konie, które tak biegly, że człowiek niedoświadczony mógł przyjąć ich tętent za tupot dziesięciu lub więcej biegnących osób. Musimy obudzić Emery'ego i Winnetou, gdyż jestem przekonany, że są to Meltonowie.

Obudzeni przyjaciele podzielali moje zdanie. Emery naglił:

— Tak, to oni. Uciekli. Jedźmy w te pędy za nimi!

— Nie — oponował Winnetou. — Moi bracia muszą poczekać, aż się rozwidni, inaczej zgubimy ślady.

— Nie musimy wcale czekać. Wiemy przecież, w jakim kierunku uciekają.

— Nie, nie wiemy — rzekłem. — Winnetou ma rację. Musimy bezwarunkowo czekać.

— Wiadomo nam, że dążą do Kolorado. Jeżeli pojedziemy w tym samym kierunku, to w końcu natkniemy się na ich ślad — upierał się Emery.

— Mogli teraz jednak obrać inny kierunek, aby nas zmylić — powiedziałem spokojnie.

— Chyba nie przypuszczają, że im się to uda.

— O, liczą na to! Skąd mają wiedzieć, że znamy cel ich podróży? Przyjechali do Albuquerque później niż Jonatan, a zatem nie mógł opowiedzieć im o jego spotkaniu z nami i z Komańczami. Sądzą, że to ich ścigamy i że nie wiemy, gdzie mają się spotkać z Jonatanem. Dlatego prawdopodobnie zechcą nas wodzić po innych drogach.

— Ale cóż to szkodzi? Aby schwytać Jonatana pojedziemy wprost ku Kolorado. Jeśli zaś oni jadą w innym kierunku, to niech sobie jadą.

— Ich także powinniśmy schwytać!

— Na pewno zastaniemy ich u Jonatana. Gdy już jego złapiemy, poczekamy na nich. A że przyjadą, to rzecz pewna — nie rezygnował Emery.

— Bynajmniej. Jestem przeciwnego zdania. Jeśli nawet przyjadą, to będą tak uważni, że trudno ich będzie zaskoczyć.

— Twierdzisz to z całą pewnością?

— Tak. Mam ku temu powody. Zapytaj Winnetou. Na pewno zgadza się ze mną.

— Dlaczego mieliby później mieć się bardziej na baczności niż teraz? — dociekał w dalszym ciągu Bothwell.

— Chcą nas odciągnąć od Kolorado. Jeśli zauważą, że ich nie ścigamy, mogą zacząć się domyślać, iż dążymy do zamku Judyty i że ich wyprzedzimy. Jeżeli więc tam pojedą, to nie omieszkają zachować wszelkich środków ostrożności.

— Hm. Teraz rozumiem.

— Pomijam już, że w takim wypadku łatwo możemy się dostać między dwóch wrogów. Z jednej strony Jonatan, z drugiej obaj Meltonowie.

— Czyż mamy się lękać Jonatana?

— Słuszne pytanie. Ale zapominasz, że będzie go wspomagać gromada Indian, którzy przywędrowali wraz z Judytą i jej nieboszczykiem .mężem, wodzem Jumów. Musimy się z tym liczyć.

— To prawda. A więc sądzisz, że należy ścigać Meltonów, nawet jeśli obiorą fałszywy kierunek?

— Tak. Musimy ich schwycić. Dlatego nie możemy wyruszyć, dopóki światło dzienne nie uwidoczni śladów.

— Poza tym trzeba będzie napoić konie — wtrącił teraz Winnetou. — Wprawdzie piły wczoraj wieczorem, ale nie wiemy, dokąd zawiedzie nas droga i czy dziś lub jutro natrafimy na wodę.

Wyczekiwaliśmy, aż zacznie świtać. Pueblo powoli wyłaniało się z mroku. Z dała już było widać, że wszyscy mieszkańcy czuwają. Był to oczywisty; dowód, iż w nocy nie zmrúzyli oka.

Gdy tylko zobaczyli, że podążyliśmy do cysterny z wodą, wysłali do nas jednego ze swoich, który oświadczył:

— Jeśli chcecie napoić konie, to musicie zapłacić!

— Kim jesteś, że wymagasz od nas zapłaty?

— Jestem naczelnikiem tutejszego pueblo.

— Ach tak! Chcieliśmy wczoraj z tobą mówić i pytaliśmy o ciebie. Dlaczego nikt nam nie odpowiedział na pytania?

— Ponieważ nie było mnie tu wczoraj.

— Wierutne kłamstwo — rzekłem. — Przypominam sobie twoją twarz. Kiedy, jak twierdzisz, opuściłeś pueblo?

— Wczoraj rano.

— A zatem byłeś tu wcześniej?

— Tak.

— W takim razie może nam powiesz, czy przybyli tu w tym czasie cudzoziemcy?

— Nikt nie przybył.

— Ale wszak wczoraj przyjechali do was dwaj biali jeźdźcy?

— Nie. Skoro wróciłem do domu, opowiedziano mi tylko o was. Gdybyś był tu ktoś jeszcze, z pewnością by mnie powiadomiono.

— A jednak byli tutaj dwaj jeźdźcy. Szukali nas w nocy, chcąc nas zabić.

Znieruchomiał, udając oburzenie.

— Senior — rzekł — jak może pan coś podobnego twierdzić? Jesteśmy ludźmi spokojnymi i nie napastujemy nikogo.

— Gdybyście w rzeczywistości byli uczciwi, nie łgalibyście tak brzydko. Wiemy, że obaj biali przybysze wyjechali stąd przed niespełną godziną. Zapamiętaj, że nie lękamy się ani ich, ani was. A za wodę oczywiście zapłacimy.

Daliśmy mu żadaną sumę. Napoiliśmy konie i ugasiłiśmy pragnienie. Wyruszyliśmy nie szukając z początku śladów Meltonów. Ale kiedy znaleźliśmy się poza polem widzenia Indian, każdy z osobna rozpoczął badanie terenu. Pierwszy odkrył ślady Winnetou. Najpierw prowadziły na zachód, ale później zakreślały łuk w kierunku północno-zachodnim.

— Widzisz! — rzekłem do Emery'ego. — Moje przypuszczenie się sprawdza. Kanie istotnie zoczyły z prostej drogi.

— Fatalna sprawa! Kto wie, jak długo będą nas wlec za sobą — ile czasu upłynie, zanim wrócimy na właściwą drogę.

— Galopem doścignęlibyśmy ich wkrótce!

— A więc pędźmy!

— Niestety, wierzchowiec Franciszka nie dotrzyma tempa naszym koniom.

W tym momencie Winnetou zeskoczył z siodła, uważnie zbadał grunt i zapytał Vogla:

— Czy mój młody brat nie uczył się czytać śladów?

— Nie — odrzekł Franciszek. — Jeśli ślady nie są dość wyraźne, to nie potrafię ich znaleźć.

Po chwili Apacz zwrócił się do nas:

— W takim razie nie powinniśmy go tutaj samego zostawiać, gdyż nie odnajdzie nas i zbłądzi. Meltonowie dosiadają dobrych wierzchowców, a jednak możemy ich wkrótce doścignąć. Winnetou wraz z Old Shatterhandem ruszą w pościg. Wystarczy nas dwóch, aby schwytać łotrów. Mój brat Emery razem z tym młodym człowiekiem pojedą w ślad za nami.

Mina Anglika dowodziła, że nie jest zbyt zachwycony takim obrotem sprawy. Ale nie narzekał. Spięliśmy konie i ruszyliśmy galopem, Emery zaś z Voglem pozostał za nami.

Meltonowie wyprzedzili nas o godzinę drogi. Gdyby nawet dosiadali rączych koni, jak sądził Winnetou, musielibyśmy dogonić ich na naszych wysmienitych rumakach niewątpliwie jeszcze przed obiadem.

Jechaliśmy przez wypalony step. Grunt był twardy jak kamień. Staraliśmy się pozostawiać za sobą wyraźny ślad. Natomiast trop Meltonów był widoczny tylko od czasu do czasu. Mieli się na baczności. Zależało im niewątpliwie na tym, abyśmy zmarnowali wiele cennego czasu na szukanie ich śladów. Musieliśmy wyteńczyć całą swoją uwagę, aby mimo baczego wpatrywania się w ziemię nie zwalniać biegu. Tu dopiero wyszło na jaw mistrzostwo Winnetou.

Równina przeszła powoli w teren falisty. Wzniesienia przecinały się z obniżeniami. I jedno, i drugie nabierały coraz pokaźniejszych rozmiarów. Po upływie dwóch godzin mknęliśmy już przez okolice górzystą. Były to południowe rozgałęzienia Sierra Mądre.

Jechaliśmy wprost przed siebie, w górę i w dół, co zresztą nie nastroczało szczególnych trudności, gdyż wzgórza nie były ani bardzo wysokie, ani bardzo strome. Odznaczały się całkowitym brakiem roślinności.

Minęły już trzy godziny. Wjechaliśmy na jeden z wyższych szczytów, skąd było widać leżącą przed nami dolinę i najbliższe wzniesienie. I wtedy spostrzegliśmy Meltonów. Jechali właśnie pod górę. Aby zbliżyć się do nich, zanim nas spostrzegą, pędziliśmy co koń wyskoczy przez dolinę. Nie mogli słyszeć tętentu, jednakże jeden z nich odwrócił się i wtedy nas zobaczył; ostrzegł brata, po czym obaj zmusili konie do morderczego biegu. Winnetou rzekł z uśmiechem:

— Te wierzchowce niedługo wytrzymają taki bieg. Jeźdźcy nie uciekną daleko.

— Jak według ciebie należy ich schwytać? — zapytałem.

— Groźbą — odparł. — Zbliżymy się do nich na taką odległość, aby mogli nas usłyszeć. Rozkażemy Meltonom zatrzymać się, zsiąść z koni i złożyć broń. Jeśli nie usłuchają, będziemy musieli strzelać. Nie zabijemy ich, tylko zranimy,, pragniemy przecież schwytać ich żywych.

— Prawdopodobnie z bliska spróbują do nas mierzyć.

— Władamy lepszą bronią i sprawniej od nich, więc postrzelimy ich tylko.

Mówił z dużą ufnością, nie podejrzewając wcale, że jednak całkiem inaczej może się to wszystko ułożyć. Zanim wjechaliśmy na najbliższą górę, Meltonowie byli już w dolinie. Konie dobywały już resztek sił. Jeźdźcy odwracali się ku nam coraz częściej. Ścigaliśmy ich pod górę i w dół, zbliżając się w szybkim tempie. Konie Meltonów były już bardzo zmęczone, podczas gdy nasze trzymały się jeszcze świetnie.

Wkrótce zobaczyliśmy dwa łańcuchy wyżyn, które biegły daleko na zachód. Zamknięta między nimi wąska, równa dolina była zavalona miejscami skalnym rumowiskiem. Całość sprawiała wrażenie, jak gdyby jakiś ród gigantów wykopał tu ogromny rów czy kanał. Do tego właśnie kanału pędzili Meltonowie, a my za nimi. Pościg mógł trwać najdłużej jeszcze kwadrans.

Naraz zdarzyło się coś tak strasznego, że włosy nam niemal stanęły dęba. Obaj bracia mknęli w galopie przez głązy i rumowiska. Wtem jeden z rumaków potknął się i runął, kryjąc pod sobą jeźdźca. Towarzysz jego osadził konia, skoczył na ziemię, aby mimo zbliżającego się z każdą sekundą niebezpieczeństwa pomóc bratu. Nieco później dojrzelśmy, że tym, który upadł, był Tomasz Melton.

Jego brat Harry usiłował podnieść konia, ale na próżno — wierzchowiec miał złamaną przednią nogę. Zdołał go więc tylko odwlec na bok i w ten sposób uwolnić brata, który natychmiast się podniósł. Można było poznać po gestykulacji rąk niezwykle podniecenie obu braci. Mieli teraz tylko jednego rumaka, a więc tylko jeden z nich mógł jechać dalej. Drugi musiał chybnie wpaść nam w ręce.

— Dwóch jeźdźców i jeden koń! Mamy ich z pewnością! — zawołał Winnetou.

Wjechaliśmy do kanału. Teraz właśnie rozegrała się okropna scena. Harry Melton chciał dosiąść swojego rumaka, Tomasz przeszkadzał mu, usiłując odciągnąć konia na bok. Kłócili się, ale niedługo, gdyż całe to ścinające krew w żyłach zdarzenie przebiegło szybciej, niż można opisać. Naraz Harry odsunął brata gwałtownie i włożył nogę w strzemień, lecz w mgnieniu oka runął na ziemię, uderzony, kolbą. Tomasz, powaliwszy brata, pochylił się nad nim na krótką chwilę, po czym błyskawicznie dopadł konia i pogalopował. Dopiero później zrozumieliśmy, po co się schylił. Cała ta scena nie trwała dłużej niż kilkadziesiąt sekund. Niepodobna było w tak krótkim czasie zbliżyć się do nich na odległość strzału.

Popędziliśmy nasze konie jeszcze bardziej i wkrótce dojechaliśmy do miejsca, gdzie leżał Harry Melton i wierzchowiec jego brata. Zwierzę, wierzgając trzema zdrowymi nogami, usiłowało za wszelką cenę się podnieść, ale daremnie. Melton zaś leżał bez ruchu.

Zatrzymawszy się przy Harrym, zsiadliśmy z koni. Z głębokiej rany w jego lewej piersi płynęła obficie krew.

— Bratobójca! — zawołał gniewnie Apacz.

— Tak, bratobójca! — potwierdziłem i ciarki po mnie przeszły.

— Jedziemy za nim?

— Nie. I tak nam nie umknie! Mamy tu przed sobą zapewne konającego. Musimy zostać. Być może, uda się go uratować.

Winnetou nie sprzeciwił się, chociaż rzucił tęskne spojrzenie w dal, gdzie jeszcze wyraźnie było widać uciekającego mordercę. Zerwaliśmy z rannego surduta i kamizelkę. Koszula była mocno splamiona krwią. Musieliśmy odsłonić całą pierś. Rana krwawiła, ale nie tak silnie, aby spowodować natychmiastową śmierć.

Melton zaczął oddychać. Na szczęście krew nie wdzierła mu się do gardła wraz z oddechem. To był pomyślny znak. Usiłowaliśmy przewiązać ranę i jakoś się nam to udało. Niestety, nie było w pobliżu wody.

Siedzieliśmy przy rannym dość długo. Upłynęło sporo czasu, zanim otworzył oczy. Chwycił się rękami za głowę i wlepił w nas nieruchome spojrzenie. Następnie jakby oprzytomniał. Poznał nas, chciał się zerwać, ale bezwładnie opadł na ziemię.

— Niech pan leży spokojnie — rzekłem. — Śmierć siedzi panu na piersiach i czym będzie się pan bardziej wysilać, tym szybciej pana zabierze.

Obejrzał się dookoła, spostrzegł krew, opatrunek i zapytał cichym, zdławionym głosem:

— Krew... krew... gdzie... skąd?

— Z pańskiej piersi.

— Kto... kto?

— Pański brat.

— Tomasz... mój brat... Przymknął powieki, aby zastanowić się nad tą straszną wiadomością, potem otworzył oczy. Wściekłość odmalowała się na jego wciąż szatańsko pięknej twarzy. Wszeptał:

— Niech Bóg przeklnie tego mordercę! Wydał mnie w wasze ręce!

— To jeszcze drobnostka. Prawdopodobnie wydał pana nie tylko nam, ale i śmierci. Czas porachować się z własnym sumieniem.

— Gdzie... gdzie jest?

— Uciekł na pańskim koniu.

— Tak, tak, teraz już sobie przypominam. Jego koń się potknął, a ja zsiadłem ze swego, aby mu pomóc. Wówczas próbowałem skoczyć na mego wierzchowca. Kłóciliśmy się. Chciałem dosiąść konia... Więcej nic nie pamiętam!

Podaję jego słowa w formie płynniejszej, bez pauz, które następowały po każdym wyrazie, albowiem rozmowa męczyła go bardzo. Wyjaśniłem rannemu:

— Nie wsiadł master na konia, bo brat stracił pana uderzeniem kolby. Potem widzieliśmy, że nachylił się nad panem. Wówczas właśnie pchnął nożem w pańską pierś.

— Nachylił się? — zapytał Melton i dodał szybko: — Gdzie jest mój surduta?

— Leży tutaj.

— Podajcie mi go, natychmiast! Podałem mu skrwawiony surdut.

Macał drżącą ręką boczną kieszeń, ale nic nie znalazł.

— Pusta — jęknął. — Pusta!... Ograbił mnie!

— Co zabrał?

— Pugilares z pieniędzmi! O ten Judasz... I to jest mój brat!?

— Czyje to były pieniądze?

— Moje, moje...

— Ale skradzione, zagrabione, prawda?

Milczał. Dopiero po powtórnym zapytaniu odparł:

— To was nic nie obchodzi! Wy... wy...

Zobaczył obok siebie nóż, który wyciągnęliśmy mu zza pasa, pochwycił go i zamierzył się na mnie. Mimo znacznego osłabienia niełatwo mu było wyrwać go z ręki.

— Nie zadawaj sobie, master, trudu, aby przekonać nas o swoim usposobieniu — rzekłem.

— Znamy pana i tak dosyć dobrze.

Walka, aczkolwiek krótka, pogorszyła, jego stan. Krew wypływała z rany obficie. Zamknął ponownie oczy. Podczas gdy usiłowałem zatamować krwotok, szeptał jakby nieprzytomnie, powoli, robiąc długie przerwy:

— Schwytany, pojmany!... Winnetou, Old Shatterhand... Psy! Ograbiony, zakłuty... przez Tomasza... przekłuty Judasz, przekłuty... O zemsty, zemsty... zemsty!

Bredził w nieświadomości. Wykorzystałem ten stan, aby się czegoś dowiedzieć i zapytałem:

— Zabrał pańską część pieniędzy Huntera, ten szubrawiec?

— Tak, pieniądze Huntera — potwierdził, nie otwierając oczu.

— A miał wszak tyle, co i pan?

— Tak, tyle samo...

— A resztę posiada Jonatan?

— Jonatan. Zemsty... Zemsty!

— Nie ominie go. Pojedziemy za nim do...

Czekałem z napięciem, co odpowie.

— Do Flujo Blanco... White-Fork — wyszeptał.

— Tam, gdzie leży zamek Judyty?

— Jej zamek... jej pueblo... Naraz rozwarł szeroko oczy, spojrział mi w twarz i krzyknął:

— Kim jesteś?

— Zna mnie pan przecież.

— Tak, ja... znam ciebie! Old Shatterhand... Winnetou... Obaj czarci!... Dlaczego się pytasz? Zostaw mnie w spokoju!

— Myślałem, że mamy pana pomścić?

— Pomścić?... Tak, tak!... Pędźcie za nim! Zastrzelcie go! Zabierzcie mu pieniądze i przynieście — naraz ścisnął pięści i dodał: — Nie, nie... nic nie powiem, nic! Niech Tomasz ucieknie! Jesteście, jesteście... nic się nie dowiecie... nic ode mnie! Idźcie do diabła... do diabła...

Wyprężył się i umilkł. Krew bluznęła z rany. Ponieważ się nie poruszał, więc zatamowaliśmy ją szybko. Stracił przytomność.

Winnetou dotychczas milczał. Utkwił badawcze spojrzenie w twarzy zemdlonego i rzekł:

— Już nie opuści tego miejsca.

— Miejmy nadzieję, że jeszcze przed śmiercią wyrazi skruchę.

— Oby się to prędzej skończyło! Musimy ścigać jego brata. Czy mu współczujesz?

— Tak.

— Nie zasługuje na współczucie. Był gorszy niż dzika bestia. O wiele więcej litości budzi ten koń, który nigdy nie zrobił nic złego. Winnetou położy kres jego mękom.

Zwierzę, parskając z bólu, na próżno usiłowało stanąć na nogi. Apacz przyłożył mu lufę swej srebrnej strzelby do łba i wystrzelił. Dźwięk strzału obudził Meltona. Obejrzał się dookoła przestraszonymi, szeroko otwartymi oczami i zapytał:

— Kto strzelał? Czy to było dla... dla...

Upadł z powrotem i leżał nieruchomo przez godzinę. Chwilami szeptał coś, czego nie można było zrozumieć. Jego wewnętrzny spokój wydawał się snem, ale tylko się wydawał.

— Teraz wiemy już dokładnie, gdzie szukać Judyty — rzekłem do Winnetou.

— Tak, nad Flujo Blanco.

— Czy brat mój zna tę rzekę?

— Byłem wprawdzie nie tam, tylko w pobliżu, ale łatwo do niej trafię. Wypływa z Sierra Blanca. Jankesi nazywają ją White-Fork.

Koło południa nadjechali Emery z Franciszkiem. Wieczorem Melton wyzionął ducha. Zerwał się naraz na nogi, wymienił imię swego brata, miotając przekleństwa, których nie sposób tu przytoczyć, po czym padł martwy na ziemię.

Pogrzebaliśmy go nazajutrz, przysypując ciało kamieniami, aby chroniły je przed sępami. Po czym opuściliśmy miejsce zbrodni.

Nad Flujo Blanco

Wiedząc, że zbrodniarz podąża do syna, zjechaliśmy z dotychczasowego szlaku i ruszyliśmy w kierunku południowo-zachodnim. Niebawem znaleźliśmy się między Sierra Mądre a górami Zuni.

— Rzecz dziwna! Po drugiej stronie gór klimat odmienił się w sposób uderzający. Wiecznie jasne meksykańskie niebo pokrywało się kilka razy dziennie ciężkimi chmurami i zsyłało ulewne deszcze, to znów momentalnie się przejaśniało. Droga wypadła nam przez tereny Kolorado, gdzie deszcze występowały na przemian z bezchmurną pogodą. Pod pewnym względem odpowiadało nam to bardzo, ale pod innym było wielce niewygodne. Wilgoć żywiła obfitą zieleń. Wszędzie było dużo wody i paszy dla koni, ale my sami byliśmy przemoczeni do suchej nitki. Z powodu poprzedniego upału mogło to się niekorzystnie odbić na naszym zdrowiu. Byliśmy co prawda przyzwyczajeni, wyjąwszy oczywiście Vogla, do ulewy, do spiekoty i mrozu, ale teraz jakże ogromnie tęskniliśmy wieczorami za suchym, krytym dachem schronieniem!

Pod wieczór trzeciego dnia po śmierci Harry'ego Meltona. Winnetou oświadczył, że nazajutrz zbliżymy się do Flujo Blanco. Deszcz padał jak z cebra. Nie był to już zwykły deszcz, a prawdziwy potop, który mógł niejednego jeźdźca zmyć całkiem z siodła. Żał mi było biednego Franciszka. Nieprzyzwyczajony do takich niewygód, starał się nadrabiać miną.

Miejscami droga gubiła się wśród drzew i zarośli, świadczących o bliskości źródeł i strumyków. Na południu wznosiły się wierzchołki Sierra Blanca, niedostrzegalne z powodu deszczu. Naraz chmury, jak gdyby zdmuchnięte, odsłoniły czyste niebo, ale niestety na krótko. Teraz mogliśmy się dokładnie rozejrzeć. Im dalej, tym powietrze było świeższe i bardziej orzeźwiająjące. O ile poprzednio nie było nic widać nawet z odległości dziesięciu kroków, o tyle obecnie można było zobaczyć również człowieka stojącego aż hen, na nagim wierzchołku góry, do której dążyliśmy. Musiał chyba przebywać tam podczas nawałnicy. Teraz oto poruszył się i szedł nam na spotkanie, które nastąpiło niebawem u stóp góry. Był to Indianin w średnim wieku, ubrany na pół w skóry, na pół w kaliko*. Jego przyjazne powitanie dobrze nas ku niemu usposobiło. Nie miał przy sobie broni. Przyglądał nam się ciekawie i okazywał chęć do nawiązania rozmowy. Zagadnąłem pierwszy:

— Do jakiego plemienia należy mój czerwony brat?

— Jestem Zuni — odrzekł. — Skąd przybywa mój biały brat?

— Z Acony.

— A dokąd jedzie?

— Do Kolorado i jeszcze dalej. Czy mój brat zna tę miejscowość?

— Tak. Mieszkam tutaj w pobliżu wraz z żoną.

— Czy można się tu gdzieś przespać, nie kąpiąc w deszczu?

— Jeśli to moim braciom odpowiada, zaprowadzę ich do swego domu.

— Ach, jest tu gdzieś w pobliżu dom?

— Tak. Moi bracia mogą pójść i obejrzeć. Skoro im się spodoba, będą mogli zostać. Żaden deszcz nie przenika przez jego dach, a ognisko płonie przez całą noc.

Poszedł naprzód, a my za nim.

— Zuni? Co to za ludzie? — zapytał Emeryr — Czy spotkałeś już kiedyś jakiegoś Zuni?

— Tak. Zuni to najliczniejsze plemię Indian, osiadłych w pueblach. Niegdyś odgrywali wcale znaczną rolę. Są bardzo łagodnego usposobienia i uchodzą za najzdolniejszych z tych plemion.

— Ten człowiek nie wygląda podejrzanie. Jestem ciekaw, jakiego rodzaju budowlą jest jego dom. Byłoby nieźle, gdybyśmy mogli schronić się pod dachem i wysuszyć naszą odzież.

Zuni poprowadził nas przez teren zarośnięty trawą, porznięty wąskim, wijącym się wężowato strumykiem. Nad nim wznosił się dom — duża murowana kostka z jednym otworem, przez który wchodziło się do wnętrza. Mury były gliniane, dach z mat, zalepionych z obu stron gliną. Wewnątrz była tylko jedna izba, która służyła do wszystkiego. W kącie leżały płody rolne, w drugim poślanie ze skóry i listowia. Pośrodku wznosiło się palenisko, również ubite z gliny. Obok leżał zapas narąbanego drzewa. Wejście było zawieszane kilkoma skórami. Najbardziej zainteresowały nas wielkie półcie wędzonej zwierzyny, zwisające z pułapu. Nasz Zuni był zatem nie byle jakim myśliwym.

Kiedy wchodziliśmy do domu, z poślania podniosła się kobieta, obejrzała nas ciekawie i znikła.

— Oto mój dom — rzekł Indianin. — Jeśli spodoba się moim braciom, to mogą w nim pozostać, jak długo zechcą — powtórzył po raz drugi.

Spojrzenie Winnetou powiedziało mi, że jest gotów przyjąć zaproszenie. Odrzekłem więc gospodarzowi:

— Jeśli mój brat roznieci ogień, abyśmy mogli wysuszyć naszą odzież,; to chętnie u niego zostaniemy.

* Gatunek perkalu

— Ogień wkrótce zapłonie.

Ukląkł na klepisku, aby skrzesał płomień. Zdziwiło mnie, że nie wyrecza się żoną. Zazwyczaj bowiem Indianin jest zbyt dumny, aby osobiście zniżać się do posług domowych. Dla koni znalazło się odgrodzone miejsce. Zdjęliśmy z nich siodła, które miały nam służyć jako poduszki. Podczas gdy Indianin podsyczał ogień, zapytałem:

— Jak długo mieszka tu mój brat?

— Od urodzenia.

— A czy zna także wodę, która nosi nazwę Flujo Blanco?

— Tak. To niedaleko stąd.

— Czy tam mieszkają ludzie? Było to dla nas bardzo ważne pytanie. Z zainteresowaniem oczekiwałem odpowiedzi. Zuni odezwał się bez wahania:

— Tak. Mieszkają czerwoni i biali.

— Od jak dawna?

— Od wielu lat.

— Czy jest tam pueblo?

— Tak, pueblo, które od niepamiętnych czasów zamieszkiwali Zuni. Ale pewnego razu przybyli Indianie z Sonory — wówczas jeszcze, kiedy ta miejscowość należała do Meksyku. Znaleźli nad wodą złoto i odkupili od Zuni pueblo. Zapłacili bronią, którą wcześniej dla siebie sprowadzili. Odtąd pueblo należało do wodza Jumów. Przed kilkoma laty przybył tu jego wnuk. Przyprowadził ze sobą piękną białą squaw i wielu wojowników z żonami i dziećmi. Zamieszkali w pueblo. Wódz często wyjeżdżał ze swoją squaw do wielkiego miasta, zwanego Frisco, i tylko od czasu do czasu tu zaglądał. Wkrótce potem zmarł. Przez długi czas nie widziałem jego białej żony, ale niedawno wróciła tu wraz z pewnym mężczyzną.

— Czy przyjechali konno?

— Nie, w starej pocztowej karocy. Towarzyszył im woźnica i przewodnik z Albuquerque, który jechał obok karety na koniu. Wczoraj w nocy przybył jeszcze jeden biały. Słyszałem, że jest to ojciec owego białego, z którym przyjechała squaw.

— Kto ci o tym mówił?

— On sam.

— Kiedy?

— Kiedy był u mnie.

— Hm! Przyjechał w nocy i był u ciebie? To dziwne! Kto wśród nocy znajduje twój dom, musi go dobrze znać. Czy był u ciebie już przedtem?

— Nie. Ale płonął u mnie ogień, a drzwi nie zamknięto. Światło było widać z daleka. Zauważył je i przyszedł zapytać o drogę do puebla. Przenocował u mnie i o świcie zaprowadziłem go do celu podróży.

— Jak daleko stąd?

— Dwie godziny szybkiej jazdy.

— A zatem jesteś zaprzyjaźniony z białymi i czerwonymi mieszkańcami tego puebla?

— Tak.

— Czy nie powiedzieli ci, że jeszcze my przybędziemy?

— Nie. Jedziecie do puebla?

— Tak. Czy rano pokażesz nam drogę?

— Chętnie.

— Czy trudno ją znaleźć?

— Kto nie zna drogi, ten może minąć wejście do puebla i nie zauważyć go wcale. Flujo Blanco płynie przez dolinę zamkniętą między bardzo stromymi górami. Na lewym brzegu rzeki, pośród skał, nieznaczny odstęp stanowi wylot wąskiego korytarza, prowadzącego do puebla.

— Chcielibyśmy przyjechać tam niespodziewanie. Mieszkańcy puebla wiedzą wprawdzie, że przybędziemy, ale nie wiedzą kiedy. Czy możesz nas zaprowadzić tak, aby nikt nie zauważył?

— Oczywiście.

— Czy pueblo jest duże?

— Nie. Ale tak zbudowane, że żaden wróg nie potrafi go zdobyć. Wąski korytarz, o którym mówiłem, prowadzi do obszernej okrągłej kotliny, otoczonej niedostępnymi skałami. Kotlina ta jest zarośnięta zielenią, pełno w niej krzewów, drzew oraz innych roślin. Tu pasą się konie i tu Jumowie hodują dynie, cebulę i inne potrzebne im ziemiopłody. Samo pueblo wznosi się u wylotu korytarza. Jest zbudowane na skale, o podłużnym kształcie i nader wysokie, chociaż nie dosięga wierzchołka skały. Tu mieszkała biała kobieta z wodzem Jumów i tu mieszka teraz z białym i z jego ojcem.

Nic przed nami nie skrywał. Upewniliśmy się, że nie podejrzewał nas o wrogie zamiary względem mieszkańców puebla. On sam nie budził w nas żadnego podejrzenia, ani we mnie, ani w Winnetou. Czytałem to z twarzy mego przyjaciela.

A jednak nasz gospodarz niezupełnie przypadł mi do serca. Nie umiałem jednak wytłumaczyć dlaczego. Lecz kiedy zacząłem się nad tym zastanawiać i baczniej go obserwować, wykryłem powód mojej niechęci. Była nią przesadna uprzejmość Indianina.

Zazwyczaj bowiem czerwonoskórzy są powściągliwi, zwłaszcza w stosunku do nieznanym, których obdarzają życzliwością dopiero po dokładnym poznaniu. Zuni natomiast traktował nas niczym starych dobrych znajomych i okazywał wręcz zadziwiającą wylewność. A przecież rozmawiał z Judytą i Meltonem. Czyżby mu istotnie nie powiedzieli, że przyjazd ich do puebla ma być zachowany w sekrecie?

Ponadto coś jeszcze wzbudziło we mnie nieufność. Żona Indianina wyszła z domu natychmiast po naszym przybyciu i nie wracała. Za drzwiami grzmiało, błyskało, szalała ulewa. Gdzie się mogła podziać ta kobieta podczas takiej burzy? Ważny musiał być powód, który wygnał ją z domu, tym bardziej że mąż sam podejmował się usług właściwych kobiecie.

Do usług tych należało również przyrządzenie posiłku dla gości. Zuni podał nam ćwiartkę pieczonej zwierzyny, uprzednio przez niego pokrajanej, ale sam nie brał udziału w wieczerzy. Tłumaczył się, że jadł niedawno.

Zacząłem coś podejrzewać. Wszak stał na górze, w deszczu, jak strażnik, któremu nie wolno opuszczać posterunku. Dopiero gdy nas zobaczył, zszedł na dół. Im dłużej się zastanawiałem, tym bardziej stawałem się nieufny. Mogło się wydawać, że wypatrywał nas z góry. Postanowiłem mieć się na baczności. Zaniósłem broń wraz z siodłami do jednego kąta. Widząc to, Winnetou nieznacznie ściągnął brwi, co miało znaczyć: „Dlaczego? Czy masz jakieś podejrzenia? Cóż, będziemy ostrożni!”

Zuni miał flintę oraz łuk i kołczan ze strzałami. Broń ta wisiała na kołku wbitym w ścianę. Podczas gdyśmy się posilali, przykucnął w pobliżu po indiańsku i zdawał się być uradowany, że smakuje nam jado. Zapytany o zwierzynę, począł się żalić na Gilenno–Apaczów, którzy często nawiedzają te strony, urządzając tu polowania.

— Te psy nie mają prawa do tych ostępów — rzekł. — Dlaczego nie pilnują swoich terenów, tam nikt ich nie plądruje i nie tępi zwierzyny. Nienawidzę wszystkich Apaczów!

— Wszystkich? A to dlaczego? Nie słyszałem, aby Zuni wojowali z Apaczami.

— Ponieważ jesteśmy zbyt słabi. Zabierają naszą własność, a my nie możemy się bronić. Wszyscy są złodziejami. Należy ich zetrzeć z oblicza ziemi!

— Wszystkich? — zapytałem ponownie. — Przecież między nimi żyją mężni i słynni mężowie.

— Nie wierzę. Niech mi mój brat wymieni chociaż jednego.

— No, na przykład Winnetou.

— Nie mów mi o nim! Kiedy was jutro zaprowadzę do Jumów, dowiecie się od nich, co to za parszywy szakał.

— Czy był kiedyś wrogiem Jumów?

— Zawsze. Ale raz wyrządził im tak wielkie szkody, że nigdy mu tego nie zapomną. Biada mu, jeśli kiedykolwiek wpadnie w ich ręce.

— Wielkie szkody? Jakże się to stało?

— Jumowie napadli na hacjendę i posiadli już cenną zdobycz, kiedy on się zjawił i odebrał im łup. Później wojownicy Jumów obozowali przy starej kopalni, w której pracowali biali cudzoziemcy, i ciągnęli z tego duże zyski. Winnetou i tego dochodu ich pozbawił.

— Jakże to być mogło? Wszak jest to tylko jeden człowiek. Czy jeden człowiek może wyrządzić takie szkody całemu plemieniu?

— Nie był sam. Towarzyszył mu ktoś o wiele, wiele gorszy od wodza Apaczów, biała twarz imieniem Old Shatterhand.

— Hm, ten westman? Przypominam sobie. Jeśli się nie mylę, to słyszałem już o tej sprawie. Czy nie była to hacjenda del Arroyo, a kopalnia czy nie nazywała się Almaden alto?

— Tak.

— A czy Jumowie mieli powód do splądrowania i spalenia hacjendy?

— Tego... tego nie wiem—odpowiedział zakłopotany.

— Był to rabunek, wiem na pewno. A w Almaden alto szło o wiele większe przestępstwo.

— To nieprawda!

— A jednak! Zwabiono tam wielką gromadę białych i uwięziono w podziemiach kopalni rtęci. Mieli pracować bez wynagrodzenia, niczym niewolnicy, dopóki nie wyzwoliłaby ich śmierć męczeńska.

— Cóż to obchodziło Winnetou i Old Shatterhanda?

— Biedni robotnicy byli ziomkami Old Shatterhanda i dlatego ujął się za nimi.

— I wystąpił przeciwko Jumom. Dlaczego więc dziwisz się, że nienawidzą zarówno jego, jak i Winnetou?

— Dziwię się, ponieważ, o ile pamiętam, zawarli pokój.

— Który nie ma żadnego znaczenia. Powtarzam raz jeszcze, biada im, jeśli wpadną w ich ręce!

Zuni zmienił teraz ton rozmowy, mówił z niepojętą goryczą.

— Zdaje się — rzekłem — że jesteś serdecznym przyjacielem Jumów, gdyż mówisz z taką wściekłością, jak gdybyś był jednym z nich.

— Jestem ich przyjacielem. Wrogowie ich są moimi wrogami.

— Ale wydaje się, że jesteś o tych wrogach źle poinformowany. Winnetou i Old Shatterhand obeszli się wówczas z Jumami bardzo łagodnie. Wiele razy ich pokonali i mieli w swej władzy, a jednak postępowali z nimi pobłażliwie. Zresztą, nie mówmy już o tym!

— Tak, nie mówmy! Bowiem gdy tylko o tym pomyślę, pragnę widzieć Apacza i jego przyjaciela przy palu męczeńskim.

Odwrócił się od nas, oparł plecami o ścianę i wpatrywał się posepnie w ogień. Jego grzeczność rozplynęła się. Winnetou rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie.

Gdyby to Zuni wiedział, że jesteśmy tymi, których tak pragnie widzieć przy palu! Bądź co bądź, rzecz dziwna, że nas nie rozpoznał. Wszak wiedział, że Winnetou jest Indianinem. Dlaczego nie zapytał, z jakiego plemienia pochodzi? Winnetou był zbyt dumny, aby zaprzeczyć się swego imienia. A następnie — srebrna strzelba Apacza i mój sztucer. Każdy Indianin zna tę broń, choćby ze słyszenia. Stały teraz w kącie, padało na nie światło ogniska. Gdyby tylko Zuni rzucił tam jedno spojrzenie, musiałby się domyślić, kogo ma przed sobą. Stanowczo gospodarz nasz coraz mniej mi się podobał!

— Wreszcie wróciła jego żona. Przemokła do suchej nitki, odzież przylgnęła do jej ciała. Nie racząc na nas spojrzeć, usiadła na posłaniu. Nie była brzydka, lecz zahukana, wylękniona, co świadczyło, że małżonek ją tyranizuje.

— Gdzie była w czasie ulewy ta biedna niewiasta? — zapytał mnie Emery po niemiecku, gdyż po angielsku Zuni mógł rozumieć.

— Słusznie pytasz — odrzekłem. — Jak daleko stąd do Flujo Blanco według słów Zuni?

— Dwie godziny konnej jazdy.

— A jak długo Indianka bawiła poza domem?

— Na pewno ze cztery godziny. Czy myślisz, że pojechała do Meltonów?

— Uważam, że jest to całkiem prawdopodobne, iż zawiadomiła ich o naszym przybyciu.

— Mam głęboki szacunek dla twojej domyślności, ale w tym wypadku na pewno się mylisz.

— Twierdzę, że Zuni poznał nas, gdy tylko zobaczył, i że grzeczność jego była jedynie pozą.

— Czy myślisz, że zechcą nas tu schwytać?

— Tak sądzę.

— W takim razie musimy czym prędzej odjechać.

— Nie, bynajmniej.

— Człowieku, chcesz, żeby nas pojmano?

— Nic podobnego.

— Ale to się na pewno stanie, jeśli pozostaniemy tu do chwili, aż przybędą.

— Nie będziemy na nich czekali, bo jeśli się nie mylę, są już przed domem.

— Tak uważasz?

— Tak. Z pewnością przyjechali wraz z tą kobietą.

— I są przed domem?

— Już powiedziałem.

— Do kroćset diabłów! A my tu siedzimy przy otwartych drzwiach, w świetle ogniska. Wystarczy parę strzałów, aby nas sprzątnąć.

— Nie obawiaj się! Meltonowie chcą nas schwytać żywych i dlatego wcale nas nie schwytają.

— Poszedłem po sztucer, żeby mieć go w pogotowiu. Korzystając z okazji, zbliżyłem się do drzwi i ściągnąłem skóry, zakrywając nimi wejście i pozostawiając u dołu tylko wąską szczelinę, aby dym mógł się ulatniać. Teraz nie można było obserwować nas spoza domu.

— Dlaczego zasłoniłeś wejście? — zapytał gospodarz. — Czy chcesz, abyśmy się podusili?

— Dym wychodzi swobodnie. Nikt się nie zadusi — odparłem.

— Ale drzwi muszą być otwarte! Mówiąc to, podniósł się z miejsca.

— Proszę cię, niechaj drzwi będą zasłonięte. Nie chcę, aby widziano nas z zewnątrz.

— Kto miałby widzieć?

— Być może, ty sam wiesz kto.

— Nikogo tam nie ma; drzwi będą otwarte!

Chciał podejść do otworu. Ten upór upewnił mnie w powziętym podejrzeniu.

— Stój, bo strzelam! — zawołałem, przykładając sztucer do skroni.

Widząc wycelowaną w siebie lufę, krzyknął przerażony:

— Chcesz mnie zabić?

— Tak, o ile nie usiądziesz natychmiast przy swojej squaw.

— A to dlaczego?

— Nie pytaj, tylko słuchaj!

— Dom jest mój, a nie wasz!

— W tej chwili jest nasz. Zależy od ciebie samego, czy go odzyskasz.

— Jesteście moimi gośćmi. Zaprowadziłem was do siebie. Czy tak odwdzięczacie się za gościnę?

— Tak, ponieważ zaprosiłeś nas, aby zgładzić. A więc siadaj bezzwłocznie, jeśli nie chcesz dostać kulą!

Udając, że wypełnia polecenie, zbliżył się do miejsca, gdzie wisiła jego flinta. Podniosłem się szybko, odgrodziłem go od strzelby i wskazując na posłanie, rzekłem:

— Nie tu, ale tam masz pójść! Pospiesz się, bo wyczerpiesz moją cierpliwość.

Stał przede mną nadal i łypał wściekle ślepiami.

— Ruszaj! — powtórzyłem. — Jestem Old Shatterhand, a tu siedzi Winnetou, o którym poprzednio mówiłeś. Chciałeś widzieć nas przy palu męczeńskim... Zanim jednak do tego dojdzie, przyjrzyj się nam uważnie.

Wybuchnął wzgardliwym śmiechem.

— Czy sądzisz, że przerażają mnie wasze imiona? Nic podobnego! Gdy tylko was ujrzałem, wiedziałem już, kim jesteście.

— Domyślałem się tego — odpowiedziałem spokojnie.

— Przybyliście tutaj, aby zabijać, ale sami biegliście w objęcia śmierci. Czy wiesz, kim jestem?

— Kim?

— Nie Zuni, lecz jednym z owych wojowników Jumów, którzy przybyli tu wraz ze swoim wodzem i jego białą żoną. Dziś czeka cię odwet za hacjendę del Arroyo i za Almaden alto!

Odwrócił się ode mnie i podszedł do posłania, ale nagle wykonał błyskawiczny zwrot i skoczył do drzwi, odsuwając skórzaną zasłonę. Mogłem go jeszcze zatrzymać kulą, ale nie chciałem zabijać. Żona jego podniosła się z wolna, nieznacznie. Chciała się wymknąć.

— Może tęsknisz za mężem? — zapytałem.

Nie odpowiedziała.

— Jeśli chcesz pójść za nim, to idź; nie zatrzymujemy cię tutaj.

Obrzuciła nas niepewnym spojrzeniem i rzekła:

— A co ze mną będzie, jeśli zostanę!

— Nic. Nie walczymy z kobietami. Siedź zatem spokojnie i czyn, co ci się podoba, ale nie waż się nam przeszkadzać.

— Senior, jest pan dobry! Zostanę tu i nie uczynię nic, co by się mogło wam nie podobać.

Poprawiliśmy zasłonę nad drzwiami, po czym towarzysze moi wzięli broń do ręki. Usiadłem z powrotem przy ogniu. Emery i Winnetou poszli za moim przykładem, Franciszek natomiast szepnął przełknięm głosem!

— Na miłość boską, nie siadajcie tam!

— A to czemu? — zapytałem.

— Mogą w was trafić poprzez drzwi kule! Wrogowie podkradną się do zasłony i zajrzą do środka.

— Tego właśnie pragniemy.

— Aby mogli was powystrzelać?

— Radzimy sobie sprawniej niż oni. Jeżeli usiadziemy pod ścianami, nie zobaczą nas i nie spróbują nawet strzelać. A przecież przyjemnie byłoby dać im nauczkę. Niech pan siada spokojnie z nami. Nie ma się czego bać. Może pan polegać na naszych oczach, ale strzeż się zerkać ku drzwiom. Te draby natychmiast pochwycą spojrzenie. Oglądaj, co ci się żywnie podoba, byle nie wejście.

— A jeśli zechcą zdobyć dom szturmem? — zapytał.

— Jakże to zrobią?

— Rzucają się nagle do izby.

— Wiedzą dobrze, że w taki wypadku wszystkie nasze strzelby będą w nich skierowane. Przed szybkimi wystrzałami mego sztucera żaden z nich nie umknie. Nie ma ich znów tak wielu, aby mogli szafować krwią swoich towarzyszy.

Vogel usiadł plecami do drzwi. Od czasu do czasu wzruszał ramionami, jak gdyby w każdej chwili spodziewał się z tyłu kuli. Rozmawialiśmy głośno, aby oszukać nieprzyjaciół. Nie troszcząc się na pozór o zasłonę, w istocie nie spuszczałyśmy z niej oka. Chwilami wiatr nią poruszał, co oczywiście utrudniało obserwację.

Naraz zobaczyłem między końcem zasłony a podłogą lufę, wsuniętą co najmniej na dwa cale. W okamgnieniu Winnetou chwycił swą strzelbę, rozległ się wystrzał i okrzyk. Lufa znikła natychmiast.

— Pierwszy, który się odważył, nie wróci tu już więcej! — roześmiał się Emery. — I tacy chcą nas schwytać!

— Czy sądzi pan, że im się nie uda? — zapytał Franciszek.

— O tym nie ma mowy! Trzeba zgasić ognisko, aby nas nie widzieli, i położyć się koło drzwi, gdzie będziemy ich mieć na oku.

— Lepiej by było wgramolić się na dach — wtrąciłem. — Z dachu mielibyśmy widok na wszystkie strony.

Winnetou przytaknął. Pułap wisiał na wysokości pięciu łokci. Można było wybić dziurę flintą Indianina, aby oszczędzić naszą broń. Ale przedtem powinno zgasnąć ognisko, gdyż przeświecałoby przez dziurę, zdradzając nasze zamiary.

Po wygaszeniu ognia Emery zdjął strzelbę z haka i zabrał się do roboty. Winnetou miał mu pomóc. Ja zaś podszedłem do drzwi, aby zapobiec ewentualnym niespodziankom.

Przypadłszy do ziemi, powoli wysunąłem głowę. Przed wejściem nie było nikogo. Spojrzałem na prawo, ku ścianie — ani żywej duszy. Na lewo — tak, tu skradał się ktoś powoli, cichaczem, prawdziwie po indiańsku. Czekałem cierpliwie, aż zbliży się na trzy stopy do drzwi, po czym szybko wybiegłem, uchwyciłem go lewą ręką za piersi, prawą za skórzany

pas i z rozmachem rzuciłem daleko przed siebie. Był to Indianin. Wypuścił z ręki broń. Podniosłem ją i zabrałem do domu. Ten na pewno też nieszybko tu powróci, pomyślałem.

Gdyby sytuacja nie była tak poważna, cała ta scena rozśmieszyłaby mnie ogromnie. Wspomnę, że deszcz ustał i niebo zaczęło się przecierać. Na koniec w dachu powstała tak wielka dziura, że mogliśmy się na niego wgramolić. Plecy Emery'ego służyły za drabinę, sam zaś Anglik został przez nas wciągnięty na końcu. Oczywiście, pełzaliśmy po dachu chyłkiem, gdyż inaczej łatwo by nas zauważono przy blasku gwiazd. Rozłączyliśmy się. Ja zająłem przedni szczyt domu, Winnetou tylny, Emery prawy, a Vogel lewy.

Gdy tylko przysunąłem się do kantu dachu, zobaczyłem przed sobą dwóch drabów. Nie chcąc ich pozbawiać życia, wystrzeliłem z rewolweru w powietrze. Krzyknęli ze strachu i szybko uciekli. Tymczasem prawie jednocześnie padł z tyłu strzał ze srebrnej strzelby Winnetou, a potem rozległ się jego metaliczny głos:

— Precz od koni, bo mój najbliższy strzał trafi cię w głowę!

Czytelnik przypomina sobie, że umieściliśmy nasze konie w odgrodzonym miejscu. Właśnie w chwili, gdy Apacz stanął na swym posterunku, chciano uprowadzić wierzchowce. Strzały rozległy się także z innych stron dachu. Jumowie okrążyli cały dom, ale na odgłos wystrzałów momentalnie pierzchnęli. Zamiar ich spalił na panewce. Żaden Jurna nie śmiał podejść bliżej. Skoro dzień zaświtał, nie było dokoła żywej duszy.

Zeszliśmy na dół. Kobieta leżała na tym samym miejscu, na którym ją zostawiliśmy. Widać było, że nie jest zbyt przywiązana do męża. Winnetou podszedł do niej i zapytał:

— Dlaczego moja czerwona siostra nie wyszła do swego męża?

— Nie chcę go znać. Podarujcie mi trochę pieniędzy — prosiła — abym mogła wrócić do swoich rodaków!

— Do Jumów, do Sonory? — zapytałem zdumiony.

— Tak, senior.

— I przebędziesz sama daleką drogę między tyloma wrogimi plemionami?

— Nie lękam się ich. Biedna squaw nie ma wrogów.

— Słusznie. Żaden prawdziwy wojownik nie wyrządzi ci krzywdy. Ale dlaczego chcesz się rozstać z mężem?

— Ponieważ zmusił mnie, abym porzuciła ojczyznę i wywędrowała aż tutaj! Tam mieszkają moi rodzice i bracia, a tu usycham powoli z tęsknoty.

— Czy twój mąż źle się z tobą obchodzi?

— To niedobry człowiek. Nienawidzę go!

— A więc dobrze. Damy ci tyle pieniędzy, że wystarczy na drogę.

Dałem jej, ile mogłem. Emery ofiarował dziesięć razy więcej, Franciszek dał kilka dolarów, a Winnetou ziarenko złota, wyciągnięte zza pasa. Krzyknęła radośnie:

— Stokrotnie wam dziękuję! Mieliście tu zginąć, a oto pomagacie biednej kobiecie. Jakże się cieszę, żeście uszli cało!

— Jakie były zamiary naszych wrogów? — zapytałem.

— Podczas waszego snu chcieli was pojmać.

— Czyj to plan?

— Obu białych, ojca i syna. Z początku przybył tu syn z białą squaw. Sądził, że już nie żyjecie. Potem przyjechał jego ojciec i opowiedział, że pędzicie jego śladem i że zamordowaliście i obrabowaliście jego brata. Kazano memu mężowi wejść na wierzchołek góry, wypatrywać was i zaprosić do naszego domu. Kiedy przyszliście, musiałam mimo niepogody jechać nad Flujo Blanco, aby zawiadomić o tym białych. Przybyli tu ze wszystkimi wojownikami.

— Czy nie mogłaś nas ostrzec?

— Nie. Przecież uważałam was za złoczyńców. Ale gdy senior zwrócił się do mnie tak przyjaźnie, zrozumiałam, że nas oszukano. A teraz obdarowaliście mnie szczerze. Chciałabym się wam odwdziaczyć.

— Możesz się odwdziaczyć, udzielając wskazówek, o które cię poprosimy.

— Pytaj, senior! Chętnie odpowiem.

— Ufam ci, bo masz dobre i uczciwe spojrzenie. Twój mąż opisał nam wczoraj drogę do puebla. Czy myślisz, że nas nie okłamał?

— Nie. Ojciec białego seniora zalecił mu mówić prawdę.

— Ale wszak usiłowano nas pojmać w tym domu!

— Gdyby się ten, plan nie powiódł, chciano zastawić na was pułapkę.

— Czy wiesz w jaki sposób?

— Tak. Wiedzieliśmy o wszystkim, ponieważ jawnie cieszą się z faktu, że będzie można zemścić się na was za dawne sprawy.

— Mam nadzieję, że opowiesz nam szczegółowo o tej pułapce!

— Powiem ci. Mój mąż opisał pueblo w tym celu, aby zwabić was tam w razie, gdyby pierwotny plan się nie udał.

— Nie trzeba nas było zwabiać, bo i tak byliśmy zdecydowani zdobyć pueblo za wszelką cenę.

— Zginęlibyście, gdybym wam teraz nie zdradziła tajemnicy. Ponieważ was tutaj nie schwytano, więc wszyscy nasi, którzy byli tu w nocy, wrócili do puebla pozostawiając za

sobą wyraźne ślady, abyście łatwo znaleźli drogę. Prowadzi ona do doliny Flujo Blanco, przez rzekę, a następnie biegnie jej lewym brzegiem do miejsca, gdzie dolina zwięza się do tego stopnia, że wzdłuż wybrzeża może jechać tylko jeden człowiek. W tym właśnie miejscu jest w skale otwór — wąska dróżka prowadzi tędy do puebla. Z obu stron wznoszą się niedostępne skały. Tam też przygotowano na was zasadzkę. Połowa naszych ludzi oczekuje na tej drodze, druga zaś połowa schowała się w przydrożnej kryjówce. Przepuszczą was, a potem pójdą za wami. Będziecie wzięci w dwa ognie.

— Nie najgorszy to plan. Wąziutki wąwóz, w którym moglibyśmy jechać tylko gęsiego, z prawej i lewej strony skaliste ściany, a z przodu i z tyłu wrogowie.

— Tak, panie! Plan ten obmyślił ojciec młodego seniora.

— Jak powiedziałem, wcale nieźle. Ale popełnił parę błędów, bo gdybyś nas nawet nie ostrzegła, nie wpadlibyśmy w pułapkę. Ten stary nie oszuka nas. Jeśli chciałby nas schwytać, musiałby działać chytrzej. Pierwszy wybieg nie udał się, aczkolwiek nikt nas nie ostrzegł; drugi tym mniej może się powieść. A zatem połowa waszych ludzi miała się schronić w kryjówce i przepuścić nas, podczas gdy pozostali mieli oczekiwać w wąwozie?

— Tak, senior.

— A poza tym mieli zostawić wyraźne ślady? Niech mi moja siostra uwierzy, że nie jesteśmy ślepi. Liczylibyśmy ślady i ód razu spostrzeżelibyśmy, że połowa ich nagle znikła. Zresztą, ta połowa nie może zniknąć, gdyż nie rozwieje się przecież w powietrzu. Poznalibyśmy po tropie, że jeden oddział wrogów poszedł w jedną, a drugi w drugą stronę. Zaskoczylibyśmy Indian w zasadzce.

— Ale jakże byście później przeszli przez tę dróżkę?

— Być może, wcale byśmy nie przeszli. A zresztą, mielibyśmy wrogów jedynie z przodu. Musieliby też jechać w pojedynkę, a więc z każdej strony mógłby walczyć tylko jeden jeździec, a w takim razie nie zostałby z Jumów nikt, aby policzyć ciała poległych.

Widziałem, że była przerażona. Zawołała błagalnie:

— Senior, nie czyn tego! Nie chcę, aby moje ostrzeżenie przyprawiło o zgubę moich braci. Wolę sama się zabić.

— Uspokój się! Nie uważamy Jumów za naszych wrogów. Zawarliśmy ongiś pokój i chcemy postępować z nimi jak z przyjaciółmi. O ile to zależy od nas, żadnemu z twoich braci nic złego się nie stanie. Chcemy tylko schwytać obu białych, którzy was jednak nie obchodzą. To wszystko. Spróbujemy osiągnąć nasz cel przebiegłością, a w takim razie nie dojdzie nawet do walki. Powiedz teraz, czy przejście to stanowi jedyną drogę do puebla?

— Tak. Nie ma innej.

— A czy można wdrapać się na otaczające skały?

— Nie, to niemożliwe, gdyż są tak strome, jak mury tego domu. Jeśli chcesz, mogę wam to wszystko pokazać.

— Kiedy? Jak?

— Już teraz. Na dole płynie rzeka, a płaskowzgórze jest wysokie. Można dojechać do jego górnego krańca i stamtąd obejrzeć pueblo.

— Musimy to zobaczyć. Czy możemy wyruszyć natychmiast?

— Tak. Wsiądźcie na konie i jedźcie wprost na południe, aż dotrzecie do wielkiej, samotnej skały. Tam mnie oczekujcie. Pojadę drogą okrężną, aby mój ślad nie łączył się z waszym.

Osiodłaliśmy wierzchowce. Rzekomy Zuni posiadał dwa. Na jednym uciekł, drugi stał w ogrodzeniu wraz z naszymi końmi i miał się teraz przydać jego żonie.

Pędziliśmy w oznaczonym kierunku. Minęło pół godziny, zanim zobaczyliśmy wspomnianą skałę. Niebawem przyjechała Indianka. Wyruszyliśmy z nią na zachód.

Było to zarośnięte krzakami płaskowzgórze z wartkimi strumieniami. Cwałowaliśmy jeszcze przez godzinę, aż wreszcie dojechaliliśmy do gęstego gaju o dumnie wzniesionych koronach. Rozciągał się na dużej przestrzeni; zdawało się, że w kształcie podkowy. Kobieta zeskoczyła z konia i związała mu przednie nogi, aby nie mógł daleko uciec. Poszliśmy za jej przykładem, a następnie weszliśmy w gąszcz.

Prowadziła nas na przełaj. Po chwili zatrzymała się i rzekła:

— Jeszcze parę kroków, a znajdziemy się nad krawędzią głębokiej kotliny, w której zobaczycie pueblo. Strzeżcie się jednak, aby nie zauważono was z dołu.

Na skutek tego ostrzeżenia położyliśmy się na ziemi. Czołgając się przez rzadkie krzewy dotarliśmy do krawędzi. Rozwarła się przed nami stroma i ponura otchłań. Dno było zarośnięte trawą, na której pasło się może z dwadzieścia koni i kilkaset owiec, przeznaczonych widocznie na żywność dla mieszkańców puebla. Rosły tam ponadto wysokie drzewa, wyglądające z tej odległości jak drobne krzewy.

— Znów kotlina! — rzekł Winnetou, który leżał obok mnie. ;

Te słowa były znamienne. Tak, znów kotlina! Podczas naszych wypraw kotliny odgrywały zawsze decydującą rolę. Jakże często stawały się grobem dla naszych nieprzyjaciół! Przeważnie wystrzegaliśmy się tych pułapek, przygotowanych przez samą naturę. Ilekroć jednak nie mogliśmy ich uniknąć, musieliśmy później gorzko tego żałować.

Obecna kotlina mogła stać się prawdziwym więzieniem dla swoich mieszkańców, gdyż prowadziła do niej tylko jedna droga — mianowicie ten wąski pas gruntu między skałami, o

którym opowiadała nam wcześniej indiańska kobieta. Kształt miała niemal idealnie okrągły, ściany jej niczym mury wznosiły się prawie pionowo. Nie było w nich ani odstepu, ani żadnej szczeliny, która udostępniłaby drogę na dół.

Leżąc na wprost wylotu wąwozu, będącego jedyną drogą dojścia do kotliny, mogliśmy się przekonać naocznie, jak bardzo był wąski. Rzeczywiście, starczyłoby tam miejsca wyłącznie dla jednego jeźdźca. Obok tej drogi, wiodącej nad Flujo Blanco, wznosiła się budowla, którą Judyta nazywała swym zamkiem. I trzeba przyznać, nie bez racji.

Było to pueblo, zbudowane w formie tarasowej. Widać było, że przed wielu, wielu wiekami oderwała się w tym miejscu od skał i runęła w dół ogromna lawina kamieni. Głazów tych użyto do zbudowania puebla. Budowla oparta o skałę składała się z ośmiu kondygnacji, tworzących tyleż tarasów, czyli platform, gdyż każde wyższe piętro było cofnięte. Sprawiała wrażenie czworobocznej piramidy, przeciętej prostopadle, przy czym jedna połowa była jak gdyby wmurowana w skałę. Na każde piętro prowadziła osobna drabina. Gdyby zabrano chociażby tylko tę jedną, umieszczoną najniżej, zamek przeobraziłby się w niedostępną warownię.

Ongiś budowla ta doskonale odpowiadała swojemu przeznaczeniu. Sama przez się była już nie do zdobycia, a ponadto mieściła się w kotlinie o jednym tylko nader wąskim przejściu, do którego obrony wystarczyłoby zaledwie kilka osób. Tę twierdzę można było zdobyć wyłącznie zniemacka przez zaskoczenie. Głód mieszkańcom również nie groziłby, bowiem dno kotliny dostarczało dosyć płodów rolnych, aby wszystkich wyżywić; a i wody zabraknąć nie mogło, gdyż połyskiwała w wielkim okrągłym zbiorniku, wbudowanym w środek parteru. Prawdopodobnie było tam podziemne źródło.

Teraz z kolei zwróciliśmy uwagę na ludzi. Przed szczeliną obozowali Indianie z bronią w ręku. Przywódca — przynajmniej na takiego wyglądał — siedział nad nimi na pierwszej platformie puebla w doborowym towarzystwie — Jonatana Meltona i Judyty. Jonatan miał przy sobie strzelbę.

— Czy widzisz, senior, że jest tai jak mówiłam? — zapytała Indianka. Część wojowników czeka na was przy wejściu, a reszta zaciąła się nad rzeką, aby was wpędzić do wąwozu.

— Gdzie jest ojciec tego białego, który siedzi na dole przy białej squaw?

— Nad rzeką, on tam przewodzi. A tu jest jego syn. Teraz są przekonani, że was schwytają.

Emery odezwał się:

— Jak pięknie moglibyśmy stąd sprzątnąć Jonatana! Czy posłać mu kulkę?

— Ależ nie! — odpowiedziałem. — Po pierwsze, chcę go mieć żywego, a po drugie, wątpię, czy byś trafił.

— Oho! Czy sądzisz, że strzelam tak kiepsko?

— Nie. Znam twoją doskonałość, a taki strzał z góry na dół jest bardzo niepewny. Nawet ja nie ośmielię się twierdzić, że trafiłbym.

— Przekonałeś mnie.

— Po trzecie zaś twierdzą, że był to nierozsądny wystrzał, który zaszkodziłby nam wielce. Nie wiadomo, jak takim wypadku skończyłaby się ca nasza wyprawa.

— Masz rację, a zatem nie strzel my. Ale co czynić? Czy skoczysz na dół, aby uchwycić za czuprynę miłego Jonatana?

— Na dół? Być może, mimo że nie będziemy skakali. Spójrz na pueblo. Jak daleko jest stąd, a więc od krawędzi skały, aż do najwyższego tarasu budowli?

— Sądzę, że najmniej czterdzieści łokci.

— Jest tak, jak mówisz.

— Czy chcesz zbudować tak wielką drabinę? — rzekł z uśmiechem.

— Jeśli masz zamiar stroić sobie żarty, to postaraj się, aby były dowcipniejsze — odpowiedziałem.

— Hm, tak, sprawa jest nader poważna. Musimy za wszelką cenę dostać się do puebla, a ponieważ niepodobna przemknąć szczeliną, przeto jesteśmy zmuszeni tędy zejść na dół.

— Nie powiem, że niepodobna. Objąłem już czerwonoskórej squaw, w jaki sposób poradziłibyśmy sobie w owym wąskim przejściu— Ale to wymagałoby otwartej walki i gdybyśmy nawet weszli cało do kotliny, łatwo można by nas było sprzątnąć z tarasów publa. Myślę, że moglibyśmy też przekraść się tamtędy potajemnie, oczywiście w nocy. W takim razie musielibyśmy zaskoczyć strażników, może nawet ich zabić, a tego chciałbym uniknąć. Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko zejść stąd na dół.

— Czy przy pomocy lassa?

— Tak.

— Słuchaj, to niebezpieczna zabawa! Wszak nasze lassa są kupione. Gdybyśmy sami je splekli, mielibyśmy pewność, że wytrzymają nasz ciężar. Ale opuszczać się w takie głębie na nie sprawdzonych lassach, to więcej niż ryzyko.

— Mam nadzieję, że wytrzymają. Przetłuszczono je najpierw, a następnie wędzono.

— A jednak nie polegałbym na tych sznurach. Czy pomyślałeś również o i tym, że będą się kołysać?

— Tak. Rozproszę twoje obawy i sam się pierwszy opuszczę. Następnie naciągnę lasso mocno, abyście mogli zejść bez kołysań.

— O kay! Spróbuj, a jeśli ci się uda, pójdę za tobą. Ale przedtem zapytaj Indianki, czy...

— Nie, nie! — przerwałem mu. — Ona nie powinna wiedzieć, że chcemy zejść tędy. Wierzę, że dobrze nam życzy, ale lepiej będzie, jeśli nie dowie się o naszych zamiarach. Chociaż nie chce nas zdradzić, może jednak wygadać się przed mężem albo przed innym Jurną.

— W takim razie dobrze się stało, że rozmawialiśmy po niemiecku — podsumował Emery. — Ale gdzie się podział Winnetou?

Apacz zniknął bowiem na prawo w krzakach. Domyśliłem się jego zamiarów:

— Dziwna rzecz, jak jednomyślnie zwykliśmy decydować w skomplikowanych okolicznościach — odparłem. — Jestem pewien, że Winnetou poczołgał się wprost nad pueblo, aby spojrzeć baczniej w dół i zastanowić się nad sposobem zejścia do kotliny.

Nie myliłem się ani trochę. Wkrótce nasz przyjaciel wrócił i rzekł:

— Jedna tylko droga prowadzi do celu bez rozlewu krwi. Musimy się spuścić na górną platformę.

Mówił w języku Siuksów, a to z tych samych powodów, które skłoniły nas do porozumiewania się po niemiecku.

— Czy myślisz, że nasze lassa wystarczą? — zapytałem.

— Tak.

— I że się nie przerwą?

— Nie. Nasze trzy lassa są tak długie, że jeśli je zwiążemy w jedno, to sięgną do najwyższej platformy puebla.

— Ale w jaki sposób umocujesz je na górze?

— Niedaleko krawędzi rośnie drzewo o tak mocnych korzeniach, że na pewno wytrzyma nasz ciężar. Przypuszczam, że mój brat zgodzi się już dziś wieczorem przeprowadzić na dół?

— Oczywiście. Zamierzałem zaproponować ci to samo. Ale co będziemy robić do wieczora?

— Czy mój brat nie umie sam sobie odpowiedzieć na to pytanie?

— Być może. Nade wszystko trzeba się postarać, aby wrogowie nie odkryli nas i nie przejrzeni naszego planu.

Winnetou, skinął twierdząco i rzekł:

— Tak, musimy odwrócić ich uwagę. Jak według mego brata należy postąpić?

— Powinniśmy Jumom podsunąć myśl, że napadniemy na nich nad rzeką.

— Słusznie. Muszą być pewni, że chcemy się przekraść do puebla wąskim korytarzem. Trzeba więc wrócić na dół.

— Już teraz? — zapytał Emery.

— Tak — potwierdził Apacz. — Powinni, a, nawet muszą nas zobaczyć albo co najmniej zauważyć na dole naszą obecność.

— Bądźmy ostrożni! Mogą nas po prostu zastrzelić!

— Tak, lecz tylko w wypadku gdybyśmy zbliżyli się do nich na odległość strzału. Ale tego będziemy się wystrzegać.

— Jeden ich oddział zaczął się w kryjówce. Gotowi nas podpatrzeć. Nie wiemy przecież, gdzie się ona znajduje. Łatwo możemy im wpaść w ręce.

— Ależ nie. Wszak mamy oczy i uszy otwarte. A poza tym może Indianka zdradzi nam również i tę kryjówkę.

Istotnie, określiła nam miejsce, w którym zaczęli się nasi wrogowie:

— Kiedy wrócicie do mego domu i pójdziecie śladami, wyraźnie wydeptanymi przez Jumów, to dotrzecie niebawem do małego strumyka, który wpada do Flujo Blanco. Tam Jumowie mieli się rozłączyć. Jeden oddział miał iść do puebla, a drugi dalej wzdłuż strumyka i zaszyć się w krzakach.

— I teraz wypatruje nas z prawdziwą niecierpliwością — wtrącił. — Wszak połowa Indian przybyła już do puebla, bo widzimy ich na dole. Czy pozwolimy dłużej czekać tym dżentelmenom?

— Nie. Natychmiast ruszamy na dół ku rzece — rzekł Winnetou i zwracając się do kobiety, dodał: — Czy nie zwodzi nas moja siostra?

— Nie — odpowiedziała. Wyraz jej twarzy świadczył o szczerości tych słów.

— Wynagrodzimy cię za to. Jeśli schwytemy obu białych bez walki, jedynie podstępem, to dostaniesz jeszcze więcej pieniędzy niż dotychczas. Chętnie wynagradzamy, ale umiemy też karać, jeśli ktoś nas oszuka.

— Chcę stąd umknąć po kryjomu — rzekła — ale nie chcę szkodzić swoim, Zamierzacie ich oszczędzić i dajecie mi pieniądze, abym mogła dostać się do Sonory, dlatego dobrowolnie powiedziałam wam wszystko, czego ode mnie żądaliście, i dlatego też nie zdradzę was.

— A więc niech moja siostra wraca teraz do domu!

Chciała odejść natychmiast. Nam jednak brakowało jeszcze jednej cennej informacji. Nawet Winnetou, tak zawsze przezorny, zapomniał spytać o ten szczegół. Toteż mnie wypadło zatrzymać jeszcze kobietę.

— Czy znasz dokładnie pomieszczenia puebla?

— Tak, wszystkie.

— Wiesz więc, gdzie mieszka biała squaw?

— Na pierwszym piętrze.

— Jak się tam wchodzi?

— Z drugiego piętra w dół. W otworze pośrodku platformy tkwi drabina.

— A więc na pierwszym piętrze. A pod nią na parterze mieszkają Indianie?

— Nie.

— Na co więc przeznaczono parter?

— Mieszkańcy przechowują tam zapasy kukurydzy, warzywa oraz inne ziemiopłody, rosnące w dolinie. Jest tam również studnia.

— Widzę. Czy to cysterna?

— Nie. Woda wypływa z rzeki.

— A zatem ten strumyk, który stąd widzimy, łączy się z Flujo Blanco?

— Tak. Woda nigdy nie wysycha, bo też nie wysycha nigdy rzeka.

— A gdzie mieszkają Jumowie?

— Na wyższych piętrach.

— A czy wiesz, gdzie zamieszkali obaj biali, ojciec i syn?

— Syn mieszka na pierwszym piętrze.

— A ojciec? Gdzie mieszka ojciec?

— Piętro wyżej.

— Jakże się ta biała squaw może dobrze czuć na tym pustkowiu? Brak jej chyba wygod, bez których białe kobiety nie mogą się obejść.

— Niczego jej nie brak. Wódz sprowadził wszystko, czego sobie życzyła.

Zaślepiiony miłością, nie cofał się przed żadnym trudem. Nasi mężowie stale jeździli do Prescott lub Santa Fé, aby przywozić jej wciąż nowe sprzęty.

— Czyżby więc wasz wódz był aż tak bogaty, że mógł zaspokoić wszystkie jej zachcianki?

— O to nie powinien senior pytać, nie mogę na to pytanie odpowiedzieć. Żaden czerwonoskóry mężczyzna i żadna czerwonoskóra kobieta nie zdradzą, gdzie znajduje się złoto i srebro, którego tak pragną biali.

— Dobrze. Wiem już wszystko, co chciałem wiedzieć. Możesz wracać. Ale nie zapomnij tego, co ci powiedział Winnetou. Jeśli nie postępowałaś z nami uczciwie, to spotka cię surowa kara, jeśli uczciwie — zapłacimy złotem.

— Kiedy, senior?

— Gdy tylko złapiemy obu białych.

— A gdzie?

— W twoim domu. Zapewne będziemy tamtędy wracać.

— Ale proszę was, abyście dali mi to po kryjomu, żeby nikt nie widział!

— Możesz nam zaufać! Przecież za przysługę nie odpłacimy ci krzywdą.

Dosiadła swego konia i pojechała. Wkrótce zniknęła na północnym wschodzie, na drodze do swego domu. Stamtąd nad Flujo Blanco jechało się na zachód. A zatem z naszego miejsca należało obrać kierunek północno-zachodni. Znając położenie domu, nietrudno już było obliczyć odległość od rzeki. Jak wynikało z naszych ustaleń, odległość tę zdołamy pokonać w ciągu godziny, tym bardziej że natychmiast ruszyliśmy cwałem.